Kamena

Dwutygodnik literacki ■ 15/31.XII.57 ■ 2 zł

Rok XXIV Nr 141-142

1957
23
—
24

LUBLIN

Tragizm Conrada

MARIA DĄBROWSKA

POŚWIĘCONY Józefowi Conradowi numer „La Nouvelle Revue Française" z grudnia r. u. stanowi tom pełen interesującej treści, wypowiedzianej nadto słowem doskonałym, potocznym, jasnym jak szkło.

Szereg osobistych wspomnień o Conradzie, napisanych przez jego angielskich i francuskich (a może też i innej narodowości) przyjaciół czyni ten zeszyt „Nouvelle Revue Française" żywym i gorącym, a następujące potem krótkie studia na temat jego twórczości pozbawione chłodnego tonu oficjalnej krytyki, będąc raczej impresjami entuzjastów, rzucają niemało przenikliwego światła na enigmatyczne i wspaniałe zjawisko, któremu na imię Joseph Conrad.

Zwłaszcza tyczy się to doskonałego szkicu, poświęconego technice pisarskiej Conrada, napisanego przez Romana Fernandeza.

We wszystkich artykułach tego cennego zeszytu są jednak miejsca ciemne i bałamutne, kiedy znakomici nawet autorzy błąkają się po omacku wśród dzieł Conrada, jak w niedocieczonej gęstwinie puszczy — schodząc raz po raz na manowce mało usprawiedliwionych wniosków, naciągniętych, powierzchownie i dowolnie komentowanych faktów, lub trudnych do skontrolowania metafizycznych dociekań.

Dotyczy to sprawy języka, w którym Conrad pisał i który zdecydował o jego przynależności do tej a nie innej literatury. I dotyczy to również pewnych właściwości pism Conrada, nie dość jasnych dla ludzi zachodniej Europy. Nie roszcząc żadnych pretensji do przywłaszczania Conrada, Polska może jednak rościć je do wyjaśnienia tych rzeczy.

Krytyka polska ma prawo to czynić, nie w imię jakby zwiększenia naszych praw do wielkiego pisarza, ale w imię naszego obowiązku wobec świata. Jest nawet do tego poniekąd upoważniona przez wielkiego pisarza.

Józef Conrad w kwietniu r. 1914 udzielił był w Londynie publicyście p. Marianowi Dąbrowskiemu wywiadu prasowego. Był to według otrzymanych wtedy wiadomości pierwszy wywiad udzielony prasie polskiej, a nawet do tamtego czasu pierwszy w ogóle wywiad prasowy Conrada, w którym powiedział m.in.:

„Angielscy krytycy, — wszak istotnie jestem pisarzem angielskim, — mówiąc o mnie, zawsze dodają, że jest we mnie coś niezrozumiałego, niepojętego, nieuchwytnego. Wy jedni to nieuchwytne uchwycić możecie, to niepojęte pojąć. To jest „polskość" (Tygodnik Illustrowany, nr 16 z r. 1914).

Nie jestem krytykiem, lecz Conrada, niezupełnie mi jeszcze w całości znanego, czytam i uczę się jak wielkiego mistrza, który rozwiązywał najbardziej trudne zadania estetyczne w sposób bezwarunkowo uczciwy i atakując je zawsze od najmniej dostępnej strony — prawie nigdy nie chybiał.

Jego dzieło na skutek tego wystarcza za lata studiów nad istotą pracy artystycznej — a on sam obok Flauberta dla jednych, Knuta Hamsuna — dla innych, — może być dla każdego wielkim wzorem surowej, zwycięskiej rzetelności artystycznej, wspaniałą akademią sztuki pisarskiej, opartej tyle samo na genialnych zdolnościach, co na żelaznej, zaciekłej pracy.

Jest w interesie wszystkich, aby pamięci pokoleń przekazać jak najwięcej jasności i wyrazistości w stosunku do tej postaci, i pisarze polscy powinni wziąć udział w pracy, która do tego zmierza.

Już samo przeczytanie omawianego tu numeru czasopisma w związku z treścią dzieł Conrada nastręcza pewne uwagi w tym względzie.

Jedna z nich dotyczy sprawy, dlaczego Conrad nie pisał po francusku? Wszyscy francuscy współpracownicy cytowanego miesięcznika wyrażają przekonanie, że Conrad „o mały włos" nie został pisarzem francuskim. Że tylko zbieg okoliczności, mianowicie służba w marynarce angielskiej, sprawił, że „mając do wyboru" dwa języki, Conrad wybrał nie język francuski, lecz angielski jako środek ekspresji artystycznej.

Wydaje mi się, że jeśli chodzi o pisarza, który na czele niemal prostych idej świata postawił wierność i lojalność, obowiązuje krytyków ta sama lojalność przynajmniej wobec jego własnych słów.

W znanym zaś wstępie do swoich wspomnień, drukowanym zresztą częściowo w tym samym numerze „Nouvelle Revue Française", tuż obok lekkomyślnych w tym względzie wywodów — Conrad stwierdza z właściwą sobie ścisłością, że aczkolwiek język francuski znał dobrze od dzieciństwa, nigdy nie czynił wyboru między francuskim a angielskim. I dodaje: „Wszystko, czego mogę się domagać po tylu latach używania tego języka z takim przywiązaniem — to aby mi wierzono, że gdybym nie pisał po angielsku, nie byłbym pisał wcale".

Gdyby nawet Conrad nie był złożył tego świadectwa prawdzie, to i tak przesłanki, na których mocy można twierdzić, że tylko przypadkiem nie pisał po francusku, nie ostoją się wobec pewnych faktów życia, i tylko zupełna tych faktów niewiedza może usprawiedliwiać tak płytką motywację. To, że Conrad znał doskonale mowę francuską, nie świadczy wcale, że dążył do niej podświadomie jako do swego przyszłego oręża artystycznego — który to zamysł jakoby późniejsze losy zniweczyły.

Conrada znajomość francuszczyzny nie była bowiem wcale związana z jego wyjściem z ojczyzny i obraniem swych dwóch tak wspaniałych zawodów. Należy ją natomast rozpatrywać w świetle kultury i środowiska, z których Conrad pochodził. Jarosław Iwaszkiewicz (Nr 5 „Wiadomości Literackich") zauważył słusznie, że Conrad należał do pokolenia, które wychowywało się na francuszczyźnie. Tak było istotnie. Od XVIII w. aż mniej więcej po czasy młodości Józefa Konrada Korzeniowskiego język francuski był znany całej kulturalnej warstwie narodu polskiego tak samo dobrze, jak mowa ojczysta. Że domy Korzeniowskich i Bobrowskich nie stanowiły pod tym względem wyjątków — świadczy o tym sam Conrad w przytoczonym wyżej urywku.

Niezmiernie mało było przypadkowości w życiu tego człowieka, który sam stwarzał okoliczności swego życia. Lecz jeśli co można w nim uważać za przypadkowe, to to właśnie, że się tu a nie gdzie indziej urodził (jak to słusznie zaznaczył Stefan Żeromski) i że tak dobrze mówił po francusku.

Twierdzić, że Conrad o mało co tylko dzięki zbiegowi okoliczności [illegible] stał pisarzem francuskiej... Z kolei mo, co gdyby mówił [illegible]yka tej siostry, padkowo nie został [illegible]a (t. II., str.14): Bo nie tylko że d[illegible]a, pięknej powierzchownie mówił po p[illegible]oświatowego układu, [illegible]polity ówczesnych kochował i je[illegible] poziom wykształcenia, cenie mło[illegible]o polotu umysłu i serca, —

Sądzę, [illegible]we miała usposobienie i pole bardzi[illegible] a w owej porze więcej wyle[illegible]zienie [illegible]y się nią zajmowano, niż sadzy poz[illegible]n dać mogła i chciała. Dość ści Con[illegible] zdrowia, a walcząca między mającą do późniejszego męża i wiafali o[illegible] jej wolą ojca, którego pamięć i Con[illegible]czyła, nie mogła zostawać w [illegible]wadze moralnej, — niezadowolo-

„Zrśiebie, nie mogła dać innym tego, mi[illegible]ej samej brakowało. Dopiero połączewszy się z ukochanym przez siebie si[illegible]owiekim, rozwinęła w dalszym życiu i [illegible]pospolite zasoby umysłu i uczuć, rocmu i serca. Wśród najnieprzyjemniejszych kolei życia osobistego, w którym [illegible]szelkie niepowodzenia narodowego i wyłącznego objawiły się, umiała ona tymże stanąć i najsilniej utrzymać się oddzianowisku obowiązków żony, mattłumabywatelki, zjednać sobie szacunek wyjaśni swoich i obcych, dzieląc wywejrzeniezia, i godnie reprezentować

Wnosząc z'ską".

Conrada do[illegible]5 r. wyszła za Apolla Kogłęboki, jako. Z początku młodzi Konajukochańsza jegckali w Łuczyńcu, Gdyż własne dla [illegible]matka młodej być tylko to, co było zdobyt[illegible]rskich. W przez niego zdobyte ani mowa polska, ani mowa francuska, jakkolwiek na pewno kochał je obydwie, a jedną z nich — mowę swego ojca — na pewno kochał jak matkę. W sprawie jednak jego bezprzykładnego stosunku miłości do angielszczyzny nie zmienia to postaci rzeczy, jak nie zmienia jej fakt, który przytacza Ford, że podobno Conrad miał żałować niekiedy, że nie zaczął pisać po francusku. Owszem. Mógł żałować. Czegóż się w życiu nie żałuje! Lecz podkreślać i wysuwać na czoło w sprawie jego przynależności literackiej przypadkowość — wydaje mi się rzeczą zbyt pochopną, nadającą Conradowi jakby cechę kondotierstwa duchowego, której w nim nie było.

Druga uwaga dotyczy utworów Conrada.

Angielscy i francuscy krytycy tak w stylu jak i w samej fabule jego powieści wyczuwają niezrozumiały egzotyczny czar, który usiłują sprecyzować jako: mistycyzm, idealizm, niepokój etyczny, odkrycie ciemnych bogactw duszy i rozszczepianie w nieskończoność odcieni moralnych, oraz jako zdeklasowanie i samotność jego bohaterów, — podkreślając zarazem ciągłe ich borykanie się z zadaniami, które przerastają ich siły. Nie znajdując tych pierwiastków w li-

(Dokończenie na str. 4)

Najserdeczniejsze życzenia Świąteczne i Noworoczne składa Czytelnikom Redakcja

NAŁĘCZÓW

JADWIGA DMOCHOWSKA

PORZĄDKUJĄC w myśli wspomnienia dzieciństwa i młodości, szukam nieraz jakiegoś oparcia, jakichś kamieni milowych, które pomogłyby mi odnaleźć drogę w tym gąszczu trochę zatartych, nieraz niegodnych zanotowania przeżyć.

A więc jest oczywiście w moim życiu pewien okres „legendarny", znany tylko z opowiadań, potem są to jakieś jasne szpary w ciemnej kurtynie niepamięci, [illegible], jakbym je przeżyła grubo zaczyna się w 1902 [illegible] pierwszy spędziłam [illegible].

[illegible] odchodził [illegible]ńskiej (dziś [illegible] wówczas dworzec [illegible] Franciszk[illegible]ąc tamtejniemal w [illegible]źne stoki [illegible]wilonu.

[illegible]incji — [illegible]a, tyle [illegible]wszystch za[illegible] 1914 So[illegible] do [illegible]ad[illegible]ez [illegible]zki [illegible] płó[illegible] pasy. [illegible]egzo[illegible] stam[illegible] w języku [illegible]wała nazywała [illegible]znaja Droga. [illegible]bal niłosiernie, na [illegible] [illegible]nie długie po[illegible]dnie wybiegali pić wodę [illegible]ych kubków przytwierdzonych do pompy żelaznymi łańcuszkami, lub z imbrykami po wrzątek na herbatę.

Dużo dzieci i młodzieży. Nałęczów był wówczas bardzo uczęszczaną miejscowością letniskową. W każdym niegrzecznym chłopcu dopatrywałam się prototypu „swawolnego Dyzia"; czytałam już bowiem „Ludzi bezdomnych" i wiedziałam, że jadę do Cisów.

Najdłuższy postój, około pół godziny, był w Dęblinie, a że wypadał w porze obiadowej, szło się więc coś zjeść do bufetu. Była to wielka atrakcja, gdyż bufet słusznie słynął z dobrej kuchni, organizacja i usługa były znakomite, tak że w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu można było spokojnie zjeść cały obiad. Wzdłuż długiej sali ciągnął się stół zastawiony półmiskami gorących dań, w głębi bufet z tak olbrzymim samowarem, jakiego nigdy już potem nie widziałam. Naturalnie nieodzowne plamy, nieodzowne mackartowskie bukiety, nieodzowne lampasy generalskie i brzęk oficerskich ostróg — Dęblin był twierdzą o poważnym znaczeniu strategicznym i kwaterował tam duży garnizon. Bufet stacyjny był ulubioną restauracją, peron zaś „promenadą", gdzie przechadzały się miejscowe piękności oraz ich wielbiciele.

W drodze do Nałęczowa jadało się najczęściej świetne szynkle po wiedeńsku, w drodze powrotnej do Warszawy niemniej znakomitego zająca w śmietanie. Przez cały rok były wspaniałe pasztetiki do barszczu i słynne ciastka francuskie z konfiturami.

Odejście pociągu oznajmiał istny „żywy megafon" — monumentalny portier o stentorowym głosie. Dzwonił trzykrotnie wymieniając długi różaniec stacji. Po trzech dzwonkach następowały jeszcze trzy gwizdki. Trzeba było mieć istotnie dużo dobrej woli, żeby nie zdążyć wsiąść w porę.

Teraz nie można się było doczekać Nałęczowa, ale cierpliwość podróżnych była wystawiona na ciężką próbę: pociąg wlókł się coraz wolniej, postoje stawały się coraz dłuższe. Na takiej np. stacji Gołąb czekaliśmy chyba, aż wszystkie baby sprzedadzą pasażerom wszystkie grzyby, których przynosiły tu pełne koszyki, bez względu na porę roku, począwszy od kurek i maślaków, a skończywszy na prawdziwkach i rydzach.

Pociąg stawał wreszcie w Nałęczowie wieczorem. Za budynkiem stacyjnym, oczywiście obrośniętym winem, czekały powozy i brek zakładowy. Korzystali z tej lokomocji wszyscy pasażerowie, bez względu na to, czy jechali do zakładu wodoleczniczego, do pałacu (niegdyś Małachowskich), odgrywającego wówczas rolę kasyna i hotelu, czy też do licznych willi rozmieszczonych wzdłuż Alei Lipowej lub tzw. Armatniej Góry. Stały też zwykłe chłopskie wozy, powożone przez gospodarzy ubranych w długie, zapinane na drobne guziki, lubelskie brunatne sukmany i szerokoskrzydłe słomiane kapelusze związane na tasiemkę pod brodą. Od stacji do Nałęczowa było około pięciu wiorst fatalnej drogi, szosę zbudowano dopiero po pierwszej wojnie światowej. Toteż staroświeckie powozy o dość zdezelowanych resorach zdawały się chwilami zapadać w przepaść; wjeżdżało się w Alei Lipowej, ciągnącej się [illegible] kilometr, w dżdżyste lata pod rozłożystymi kopułami olbrzymich starych lip na [illegible] lubelskich błoto prawie nigdy nie wysychało.

Pierwsze nasze lato w Nałęczowie przemieszkałyśmy w Alei Lipowej, w ładnej i stosunkowo nowoczesnej willi „Pod Matką Boską". Willę tę otaczał duży, starannie utrzymany ogród, założony dawną polską modą: środek zajmował sad, dokoła biegły strzyżone szpalery, z jednej strony grabowy, z drugiej leszczynowy. Pamiętam także ogromny klomb wyjątkowo bujnie rozrośniętych floksów. Zapach floksów pozostał dla mnie nierozłącznie związany z Nałęczowem. Zajmowaliśmy mieszkanie na pierwszym piętrze willi, mieszkanie parterowe pod nami, z werandą i ganeczkiem sąsiadującym z wejściem do nas, zajmował przez wiele lat stale Bolesław Prus. Z czasem właściciel willi wybudował dla niego w ogrodzie oddzielny domek.

Byłyśmy obie z siostrą niezmiernie przejęte tym sąsiedztwem, zmieszane, kiedy Prus zagadywał do nas: „No i co, moje pacunelki?", przechodząc swoim charakterystycznym, chwilami chwiejnym krokiem, zawsze w ciemnych okularach, w dni pogodne w alpagowej kurtce i panamie, w dni deszczowe w czarnym palcie lub pelerynie, ciemnym kapeluszu i kaloszach. Starałyśmy się nie hałasować na górze, żeby mu nie przeszkadzać, nie przebiegać przed werandą, na której często siadywał. Spoglądałyśmy tylko ukradkiem w tę stronę. Czasem widać było oboje państwa Głowackich przy herbacie, czasem panią zajętą jakąś robotą lub drelującą owoce na konfitury, pana często czytającego lub pogrążonego w myślach. Weranda była tak wtulona w ściany domu, że robiła raczej wrażenie pokoju, w którym odsłonięto jedną ścianę. Panował tam zawsze półmrok i jak na obrazach Flamandów światło koncentrowało się w jednym ognisku: małym, mosiężnym samowarku, stojącym w głębi.

Głosu Prusa prawie nie było słychać. Miał swoje godziny i ulubione miejsca spacerów. Przed zachodem słońca szedł zwykle na wzgórze za parkiem, nad łąkami, skąd o zachodzie roztaczał się istotnie bardzo piękny widok; zwłaszcza gdy znad łąk zaczynały wstawać opary, gry kolorów bywały fantastyczne. Nazwano to wzgórze Górą Prusa; nie wiem, czy tradycja tej nazwy pozostała, ale wówczas znał ją każdy mieszkaniec Nałęczowa. I my chodziliśmy tam często całym licznym towarzystwem, trzymaliśmy się jednak z daleka, starając się nie zakłócać samotności, której zawsze szukał. Dopiero kiedy ciemna sylwetka zaczynała zmierzać ku domowi, wspinaliśmy się na to wzgórze miedzami albo — jeśli już było po żniwach — na przełaj przez rżysko, w którym krzewiła się wsiana w zboże, pachnąca miodem koniczyna.

Może dlatego, że w Nałęczowie po raz pierwszy świadomie zetknęłam się z pięknem polskiej wsi, a może istotnie krajobraz ten ma taki urok, ale okolice tamtejsze pozostały dla mnie pewnym kanonem piękna, miarą, według której oceniałam inne strony kraju. Składa się na to i falistość gruntu i bogactwo gleby, dzięki któremu roślinność jest tak bujna, barwy tak nasycone, światło słoneczne zdaje się złocić wszystko dokoła a pewna mglistość powietrza nadaje miękkości i łagodności konturom. Takiego kontrastu aksamitnej głębi cienia i złocistości plam słonecznych poprzez liście jak w parku Nałęczowskim nie widziałam chyba nigdzie w Polsce.

Nałęczów jednak dawał tym, którzy tam przebywali, nie tylko piękno swego krajobrazu, ale także niezwykle miłe życie towarzyskie. Stosunki sąsiedzkie nawiązywało się łatwo, panowała większa prostota niż w wielkim mieście, niektóre zawarte tam znajomości przeradzały się w serdeczną przyjaźń.

W willi „Pod Matką Boską", oprócz państwa Głowackich, mieszkała także pani Natalia Rossmanowa z córkami Hanną i Jadwigą, które, choć o kilka lat starsze, nie tylko od nas nie stroniły, ale okazały nam od razu serdeczną sympatię, traktując niemal jak rówieśnice i pozwalając mówić po imieniu. Obie odznaczały się wyjątkową urodą, wdziękiem, dowcipem, toteż były zawsze otoczone młodzieżą. Wskutek tego i my również przebywałyśmy w kółku studentów, a nawet ludzi po skończonych studiach, którzy traktowali nas jak dorosłe panny, mówili do nas „pani" i nie dawali nam odczuć swojej wyższości.

Ogród naszej willi graniczył z innym dużym ogrodem, należącym do państwa Nagórskich. Siostra moja była koleżanką z kompletu Hani Nagórskiej, matki [illegible] poznałyśmy więc od razu całą liczną rodzinę, poczynając od najstarszego syna, studenta prawa, Zygmunta, aż do półrocznej Waluni. Najbardziej jednak zaprzyjaźniłyśmy się z drugim z rzędu synem, Adamem, później znanym adwokatem, i Juliuszem, z czasem wybitnym architektem, oraz ich nieodłącznym przyjacielem, Władysławem Tatarkiewiczem, późniejszym profesorem filozofii i historii sztuki. Przyjaźń przetrwała całe życie. W 1952 roku obchodziliśmy, w bardzo już, niestety, szczupłym gronie, jubileusz jej pięćdziesięciolecia.

W NAŁĘCZOWIE łatwo było zorganizować sobie życie codzienne. Można było stanąć w pensjonacie, z których najbardziej znany był pensjonat pani Żółtowskiej w zakładzie wodoleczniczym w pałacu, gdzie na drugim piętrze były wygodne gościnne pokoje a na dole restauracja. Albo też można było, tak jak my, wynająć mieszkanie w jednej z willi i jadać w domu, co również nie przedstawiało większych trudności. Obiady przynoszono nam z pensjonatu, śniadania, podwieczorki i kolacje przyrządzała na maszynce spirytusowej towarzysząca nam „młodsza". Wielką atrakcją było słynne nałęczowskie pieczywo. Rano trzeba było chodzić po nie do piekarni, ale po południu dostarczano je niemal do domu. Między trzecią a czwartą rozlegał się turkot kół i charakterystyczny dzwonek. Przed willą zatrzymywała się kryta platforma z piekarni Krauzego: wybiegało się wybrać samemu pieczywo. Pachniał ciepły chleb, bułeczki, chrupiące rogaliki, nie ustępujące wiedeńskim. Często sprzedawczyni wymawiała magiczne słowa: „Dziś sam Krauze p i k", wówczas popyt na pieczywo zwiększał się dwukrotnie. W podobny sposób rozwożono w zamkniętym wózku doskonałe masło w paczkach z pobliskiego Antopola.

Jasne dni nałęczowskie rozpoczynały się zwykle od tenisa. W parku były dwa dobre korty otoczone starymi lipami, w cieniu których stały ławki. Korty były elastyczne (miał ceglany) i dobrze oświetlone, warunki gry doskonałe. Miło było wypoczywać po „ostrej" partii w cieniu drzew, miło również obserwować grających. Co roku odbywały się konkursy tenisowe.

Jednym ze stałych widzów był Stefan Żeromski. Siadywał nieraz godzinami na ławce, otulony w pelerynę, z zainteresowaniem śledząc przebieg gry.

Tenis trwał do obiadu. Towarzystwo żegnało się, umawiając na popołudniowy spacer.

Po podwieczorku wyruszaliśmy całym towarzystwem na spacer na Poniatówkę, na Górę Prusa, do Wąwozów itd. Punkt zborny bywał zwykle przed naszą willą. Początkowo hasłem, zgodnie z wieloletnią tradycją, były pierwsze takty arii z kurantem, z czasem Adam Nagórski, który bardzo muzykalnie gwizdał, zastąpił je wchodzącym wówczas w modę walcem „Amoureuse" Bergera. Często także zbieraliśmy się na tarasie willi państwa Nagórskich, zapraszani na kawę, najlepsze na świecie renklody i śliwki francuskie z własnego ogrodu, ulubiony przysmak Prusa. Taras ten ma swoją oddzielną historię, gościł bowiem kolejno wszystkie wybitne postaci świata literackiego i intelektualnego Nałęczowa. Bywali tam Prus, Żeromski, Gustaw Daniłowski, Andriolli, młodziutka Zofia Rygier-Nałkowska, Marceli Handelsman, Kazimierz Gliński i wielu innych. Walentyna Nagórska, wybitna działaczka społeczna, a przy tym osoba o wysokich aspiracjach artystycznych, była ośrodkiem nałęczowskiego życia kulturalnego w okresie jego najświetniejszego rozkwitu.

Dokoła Walentyny Nagórskiej ogniskowało się całe to życie. Oprócz literatów grupowali się działacze społeczni, kierujący głębszym nurtem ideowym, który płynął pod pozornie beztroską powierzchnią.

Wymienię tu najbardziej może zasłużonych przedstawicieli postępowej inteligencji bądź przyjeżdżających na lato do Nałęczowa, bądź zamieszkałych tam na stałe. A więc przede wszystkim dr Mieczysław Rudzki, początkowo lekarz, a potem dyrektor miejscowego zakładu, żonaty z rodzoną siostrą pani Nagórskiej, Julią z Kietlińskich. Oboje oddani byli całą duszą sprawie oświaty ludu. Julia Rudzka osobiście kierowała ochronką nałęczowską, powstałą ze składek społeczeństwa oraz poważnych zasiłków Stefana Żeromskiego, dochodów z imprez takich, jak: przedstawienia amatorskie latem w Nałęczowie, wenty, podwieczorki organizowane zimą w Warszawie. Ochronka była niejako „oficjalnym", widomym owocem pracy działaczy oświatowych, głównym wszakże ich celem było szerzenie lektury popularnej wśród ludu. Najwybitniejszymi działaczami w tej dziedzinie byli: Zygmuntowie Chmielewscy, Dulęboxie, Felicja Sulkowska, Faustyna Morzycka, jej siostra, z Morzyckich Róża Brzezińska, oraz mąż jej, znany pedagog, Mieczysław Brzeziński, autor książek przyrodniczych, zarówno w zakresie szkoły średniej jak broszurek popularnych z tej dziedziny.

Stworzono szkołę, urządzano kursy wieczorowe z oddziałem dla analfabetów, przy czym nauczyciele rekrutujący się przeważnie spośród wyżej wymienionych społeczników wykładali bezinteresownie.

Rewolucja 1905 poruszyła umysły i wzniecila nadzieje w całej Polsce; odbiło się to, oczywiście, i na życiu Nałęczowa z uwagi na poważne zgrupowanie ludzi wybitnych i ofiarnych.

Zwoływano zebrania pod gołym niebem, czasem przy świetle kagańców, jak słynny wiec w Alei Lipowej, który zagaił Żeromski, najczęściej jednak wiece odbywały się pod wyiskrzonym gwiazdami firmamentem, na polanee leśnej, w tak zwanej Dolinie Słowiczej lub w Wąwozach. Na wiece te oprócz miejscowej inteligencji ściągali tłumnie okoliczni chłopi. Wkrótce rozpoczęły się represje. Wiece odbywały się mimo to, rozstawiano tylko czaty nasłuchujące złowrogiego tętentu koni kozackich.

Organizowano pomoc dla więźniów politycznych, dopomagano tym, którym udało się uciec, dostarczano ubrań, paszportów i środków na wyjazd za granicę.

Uważam to sobie za wielki przywilej, że mogłam poznać z tak bliska to niezwykłe środowisko i obcować z tymi niezwykłymi ludźmi, których olbrzymie zasługi z wiekiem dopiero potrafiłam należycie ocenić.

JEŻELI całe nasze młode towarzystwo szło na Górę Prusa, wówczas po zachodzie słońca wdawało się nam niekiedy uprosić Hanię Rossmanównę, by coś zadeklamowała. Była uczennicą Siemaszkowej, marzyła o scenie, miała niezwykle piękną dykcję. Wybierano najczęściej „Na Anioł Pański" Tetmajera, którego treść dziwnie harmonizowała z otoczeniem. Gasnące barwy zachodu, opary, jakaś tajemnicza melancholia krajobrazu. Brzmią mi jeszcze w uszach słowa:

...po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach
zaduma polna, osmętnica...

Piękny głos, szczere uczucie i wyjątkowa uroda recytatorki wprawiały nas w stały zachwyt. Jadzia Rossmanówna bardzo ładnie, choć jeszcze nieuczenie, śpiewała popularne wówczas piosenki „Si tu le voulais...", „Ja kocham cię" Griega, „Ach, zejdź do gondoli" Galla, „Przyjdź, luba, dziś" i zupełną wówczas nowość: walca Karasińskiego „Francois".

W ogóle całe nasze towarzystwo było rozśpiewane: śpiewaliśmy chórem i sa-

(Dokończenie na str. 8)

JOSEPH CONRAD

STEFAN ŻEROMSKI

JEDEN z najbardziej fenomenalnych twórców w dziedzinie literatury — Joseph Conrad — Korzeniowski — zstąpił do grobu. Jego życie i jego dzieło pisarskie świadczą o potędze woli, prawdziwie bezprzykładnej. Jako siedemnastoletni chłopiec uciekł z ziemi rodzinnej, z miasta najgłębiej zatopionego w przeszłości, w rutynie, w trwodze myśli publicznej — rzucił się na obce statki i puścił się sam w obce morza, został marynarzem, majtkiem, oficerem, wreszcie dowódcą okrętu. Jako człowiek dojrzały postanowił tworzyć w mowie, obcej mu za dni młodości i dzieciństwa, przybranej dopiero w latach męskich — i został pierwszorzędnym prozaikiem, stylistą, mistrzem, dyktatorem wysłowienia w tej mowie tak niezrównanie wyrobionej w ciągu długiego szeregu stuleci. Można go bez przesady nazwać zdobywcą, konkwistadorem, nieugiętym przywłaszczycielem dóbr duchowych, które posiąść zapragnął, ażeby je rozmnożyć i nowe z nich stworzyć wartości. W długim szeregu znakomitych prac opowiadał ludzim osiadłym świata o tym, dlaczego uciekł z ojczyzny, o tym, co przeżył wśród fal nieobeszłych oceanów i co widział na wybrzeżach dalekich, „twixt land and sea". Są to nowożytne sagi świadka, który oglądał ze swych szalonych młodych lat glob ziemski, z wielu jego stron, rozmaicie oświetlony przez słońce i księżyc — który przemierzał kolisko poprzez upały zwrotnika i przy oziębłym świetle północy, — który w ciągu kiludziesięciu lat przerzynał się poprzez najdziksze szaleństwa przyrody i przypatrywał się wszelakiej dzikości, łotrostwu i niedoli człowieka. Morze było marzeniem jego dzieciństwa i morze było treścią najistotniejszą jego epopei. W odtworzeniu za pomocą słowa wspaniałości i straszliwości oceanu jest mistrzem niedoścignym. We wszystkich najznakomitszych jego utworach morze jest sceną, na której przesuwają się tragiczne, śmieszne lub nieszczęśliwe cienie aktorów.

Najświetniejsza zaś w prostocie swej, w treściwości i jasności książka — „Zwierciadło morza" — wyraża to najprawdziwsze, najistotniejsze, co człowiek, rzucony na morskie odmęty, przeżywa, czuje i myśli. Mówią, iż ten cudzoziemiec pierwszy powiedział Anglikom-żeglarzom od stuleci — czym jest morze. Czy tak jest, trudno sądzić. Na pewno jednak opowiedział im legendy, których nie znali, wyraził najtajniejsze uczucia, sekrety serca, zrośniętego z pławaczką morską, — okrętem. Któż nie pamięta opowieści o statku, który ma w sobie dziką, wściekłą, w morzach wykołysaną duszę, który się rzuca na bariery portów i druzgocze je w szczapy, który ma w sobie skoki i rzuty szalonego piraty, a zrzuca z siebie otrząsem niepojętym wstrętnych dłań ludzi?...

Joseph Conrad był miłośnikiem i bardem okrętu. Statek jest dlań istotą żyjącą, drogą, czcigodną, jest to jego dom rodzinny i wędrujący ułamek lądu, — tego wszystkiego, co zostało i czeka, — jest to pan i przyjaciel, dobroczyńca i obrońca Stary marynarz, który po latach przymusowego na lądzie pobytu, na widok portu, zapełnionego kominami i masztami, wydaje tylko jeden okrzyk — w nim zawiera całe życie swoje: „okręty!"

Społeczeństwo żeglarzy, rozproszone na wszystkich wodach globu ziemskiego, było właściwie ojczyzną Josepha Conrada. W długich podróżach do celów nieskończenie dalekich pilny i ciekawy obserwator, miłośnik morza i wszelkich spraw jego, nauczył się, zgiębił, pojął duszę marynarzy i zapamiętał wszystko, cokolwiek mówili i czynili. Stąd wynikła niezrównana galeria portretów, malowanych, zapewne, z żywego modela. Kapitan Mac Whirr, prowadzący parowiec „Nan-Shan" w powieści pt. „Typhoon" — kapitan statku, który ratuje rozbitą szkutę „Lorda Jima", opój i zawalidroga z pozoru, a bohater najwyższej miary w istocie rzeczy, — galeria marynarzy ze statku „Narcissus", ze statku „Panta", „Tremolino" i innych — to ta rodzina, to naród poety. Pamięta on ich wszystkich, szanuje każdą ich cechę, lubi ich przywary, manie, nałogi, tęsknoty i furie wewnętrzne, kocha ich życie, ich dnie i noce. Kocha każdego marynarza i wszystkich razem, gdziekolwiek wędrują. Kiedy w r. 1914, na samym początku wojny, miałem zaszczyt poznać Józefa Konrada Korzeniowskiego i poczuć jego przychylność — po długiej pewnego razu rozmowie, gdy ta przychylność, jak sądzę, dosięgła najwyższej granicy, — czegoś jeszcze brakowało. Wówczas znakomity pisarz nachylił się ku mnie, mrugnął porozumiewawczo okiem, uderzył mię po kolanie i szepnął mi do ucha: „Ejże! Pan musiał przecież być marynarzem..."

Niestety, tej zalety nie posiadałem, wskutek czego i inne zblednąć musiały. Utwory, że tak powiem, lądowe, jak „Secret Agent", „Romance", poniekąd „Nostromo" (przepyszna opowieść o kopalniach srebra w Ameryce Południowej), — nie mają cechy portretowości, o której wyżej była mowa. Są to utwory pisane jak gdyby pod pewnymi wpływami, przypominające doskonalsze arcydzieła, znane już skądinąd. W tych to utworach Joseph Conrad najmniej jest sobą, najmniej w nich widać szczerej i dostojnej pracy marynarza, ażeby ujrzeć życie ze strony poezji.

Najpiękniejszy i najdziwniejszy, jak sądzę, pozostaje zawsze utwór „Lord Jim". Mamy tu wskazany rozwój i postęp procesu sumienia w katowni wewnętrznej ducha, pędzący człowieka z miejsca na miejsce, z morza do morza, z zatoki do zatoki, z przesmyków na wyspy skaliste pośród oceanu, zawsze z tą samą na czole troską i z tą samą wewnątrz męczarnią. Dzieło olbrzymie!

Jeden z najprzenikliwszych i najsubtelniejszych estetów, Wilam Horzyca, w pewnej rozmowie o twórczości Josepha Conrada, zwrócił mi kiedyś uwagę na tajemnicę „Lorda Jima", rzucając pytanie, —czy utwór ten nie jest przypadkiem symboliczną spowiedzią? Czy pod formą, pod osłoną przypowieści o młodzieńcu nieszczęśliwym w stronach dalekich, borykającym się ze swym sumieniem, nie mamy tutaj wyznania o dziejach i przeżyciach duchowych innej zgoła natury? Czy nie jest to wymyślna historia innego, niż opisany, wewnętrznego procesu: — zapomnienia, pogardzenia, odtrącenia innych zupełnie obowiązków? Dziś, gdy to życie zdobywcze, bogate, świetne jest już zamknięte, gdy nic już w dokonanej pracy pisarza odmienić się nie da, jest może pora do zapoznania się choćby w szkicu pobieżnym z cieniem tego życia — z jego polskim początkiem. Sądzę, iż uchylenie tego cienia pod światło, ukazanie jego nadzwyczajnej wzniosłości, dostojeństwa i piękna, niejedno wytłumaczy. W każdym razie — może udzielić niejakiej odpowiedzi na pytanie Wilama Horzycy. Życie Josepha Conrada, żeglarza, oficera angielskiej marynarki handlowej, nowelisty i publicysty, chciwie czytanego na obydwu anglosaskich półkulach, jest na ogół znane, może podlegać ciągłemu badaniu i będzie zapewne opisywane wielokrotnie. Odkryte będą niewątpliwie wszelkie źródła jego twórczości i wpływy, którym ulegał. Lecz polski jego początek osłonięty będzie dla Zachodu tajemnicą, gdyż sam Joseph Conrad rzucił nań cień zapomnienia, czasem tylko w kilku artykułach publicystycznej natury zwracając łaskawe oczy w tamtą stronę globu. Tymczasem sami krytycy angielscy wskazują na ową ciemną, nieznaną, świadomie ukrywaną słowiańskość duszy pisarza, na wpływ mowy macierzystej, która wywarła impuls szczególny a decydujący na dobór wyrazów, rytm, obrazowość, na siłę, na znamiennie podniosłą odmienność i pełnię prozy angielskiej Conrada. Krytyk Richard Curle, autor wielkiego studium o tym pisarzu, przypisujący drugiemu okresowi jego twórczości znaczenie tak dalece decydujące, iż przyrównywa je ze znaczeniem pracy mistrza mistrzów, Gustawa Flauberta. dla prozy francuskiej, pisze: „Muzykalność prozy Conrada nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie usiłowań angielskich, to jest w ogóle nowa melodyjność — romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy".

Mamy jeden tylko środek zmierzenia wpływu Polski na duszę twórcy angielskiego: — zapoznanie się z jego światem rodzinnym, który chłopcu siedemnastoletniemu musiał być przecie znany dokładnie. Siła przeżyć rodzinnych, głęboko tragicznych, może będzie miarą tego impulsu do szukania czegoś innego, który młodzieńca z kraju wyrzucił na zawsze. Nie on przecie jeden wyrywał się z tamtoczesnej katowni. Poeta styczniowego powstania, jego wieszcz silny i gorący — Mieczysław Romanowski — wołał w rozpaczy:

„Orły, sokoły, dajcie mi skrzydła!
Gruz i popioły, — ziemia mi zbrzydła,
Ja bym chciał w górze pohulać z wami
I tam na chmurze żyć piorunami...

. . . . . .

A tu żałobą pokryte doły..
Dajcie mi skrzydła, orły, sokoły!"

Cóż dopiero mówić o tym chłopcu, otoczonym wokół grobami!

Oprócz wzmianek autobiograficznych, zamieszczonych przez Józefa Conrada w artykułach publicystycznych „Poland Revisited", „First News" („Notes on Life and Letters"), w „The Mirror of the Sea", „Personal Records" i innych, — oprócz listów do rodziny i przyjaciół, pisanych przez jego rodziców, a znajdujących się już to w Bibliotece Jagiellońskiej, już w zbiorach aktów tajnych, niedawno przez Rosję wydanych i złożonych obecnie w Cytadeli, — najobfitszym źródłem do dziejów rodu Korzeniowskich i młodocianego Teodora Józefa Konrada Korzeniowskiego, są „Pamiętniki" brata jego matki, Tadeusza Bobrowskiego, wydane we Lwowie w r. 1900. W t. I tych pamiętników na str. 363 znajduje się przede wszystkim wiadomość o samym rodzie, o dziadach angielskiego pisarza: „Rodzice (Apolla Nałęcz) Korzeniowskiego byli bardzo poczciwi i szanowani w okolicy ludzie. Matka, Dyakiewiczówna z domu, poczciwa, przez męża zahukana żona, kochająca matka, ale nic nie znacząca istota, — ojciec, Teodor, porucznik z 1807 r., kapitan z 1831 r., bił się dobrze, ale ciasnej głowy szlachcic i przekonany, że był pierwszym wojownikiem w Europie, pierwszym gospodarzem i najzasłużeńszym mężem w kraju... Ma się rozumieć, że wielkim był przy tym politykiem i jedynym patriotą, bo zawsze, nie radząc się głowy, gotów był siąść na koń i wypędzić wroga z kraju... Zazwyczaj, a szczególnie w uniesieniu, do czego był skłonny, ludzi dojrzałych traktował jak małych chłopców i łajał od głupców i gorzej, co oni z największą pokorą, całując ojca w rękę, znosili. Z trzech synów, którzy rzeczywiście wszyscy byli zdolni, najstarszy Robert... zginął w 1863 r. wcale już niemłodym człowiekiem. Najmłodszy, Hilary, był taki sam jak ojciec, utopista, a niemniej złośliwy od brata Apolla, chociaż wcale niedobroduszny w stosunkach. W r. 1863, przed wybuchem powstania wzięty i sądzony, na „posielenie" do Tomska zesłany został. Tam znowu gospodarował, złota szukał i spekulował, aż w r. 1873 umarł... Żyjąc wśród osobistych, rodzinnych i polityczno-patriotycznych iluzyj, doczekał się poczciwy kapitan", (dziad Teodor) „późnego wieku, który w biedzie pędził, i w r. 1863 widział skutki przekonań, które wyznawał. Na wiosnę 1864 w Dubnie, pilnując tam syna Hilarego, skołatanego żywota dokonał. Co ciekawe, że konsystujący w Dubnie pułkownik, który go był poznał, jako dawnemu żołnierzowi polskiemu posłał na pogrzeb muzykę pułkową"...

Na innym miejscu (str. 361) srogi zawsze dla „czerwieńców" i radykałów Tadeusz Bobrowski tak opisuje ojca Josepha Conrada, Apolla Nałęcz Korzeniowskiego: „Z młodych ludzi w okolicy z jednym tylko zejść się i sympatyzować mogłem, mianowicie z Apollem Nałęcz Korzeniowskim (tak się bowiem dość pretensjonalnie podpisywał zawsze), później szwagrem moim, odnowiwszy z nim dawną ze szkół żytomierskich znajomość... Kiedy ja wyjeżdżałem do Petersburga, on właśnie stamtąd był wrócił, nie ukończywszy uniwersytetu, a nawet z pewnością nie wiem, na jaki wydział uczęszczał. Miał na wsi ustaloną reputację bardzo brzydkiego i niezmiernie złośliwego. Rzeczywiście piękny nie był, ba, nawet przystojny, ale miał bardzo miły wyraz oczu, a złośliwość jego była tylko słowna i salonowa, bo ani w uczuciach, ani w czynach nigdy jej nie dostrzegłem. W uczuciach gwałtowny, wylany i szczerze kochający ludzi, w czynach niepraktyczny, a często niezaradny nawet. W mowie i piśmie często nieubłagany, w życiu codziennym nieraz aż nadto pobłażliwy bywał, snać dla równowagi, jak mu to nieraz dowodziłem jak niemniej i to, że miał dwie wagi i miary dla maluczkich i głupiutkich i dla wielkich świata tego... Dla publicznej, że tak powiem, złośliwości swojej wybierał osobne ofiary wśród osób, które albo jego samego w czymkolwiek uraziły, albo które w ogóle rozdęte były majątkiem i pozycją — w czym najczęściej śmiech miał po swojej stronie. Chociaż miał siebie za demokratę szczerego, a inni mieli go za „ultrasa" i za „czerwonego", było w nim sto razy więcej „żyłek szlacheckich", — jak mu to nieraz dowodziłem — jak we mnie, którego ani on ani inni o demokratyczne przekonania nie posądzali. W rzeczy samej miał on bardzo czułe i miękkie serce a stąd dużo współczucia dla biednych i uciśnionych, i dlatego zdawało mu się i innym, że jest demokratą. Tymczasem były to tylko porywy serca i myśli „dobrze urodzonego Nałęcza", ale nie przekonania demokratyczne... Oczytany bardzo w lżejszej francuskiej i polskiej beletrystyce, sam wcale zdolny beletrysta, gruntownej w jakiejkolwiek gałęzi wiedzy nie posiadał; talent zaś poetycki miał wcale niezwyczajny i do rzędu najudatniejszych naśladowców. Krasińskiego zaliczony być może („Siedem słów z krzyża" w rękopiśmiennie tylko znane, bardzo piękne), zaś jako tłumacz Wiktora Hugo i Heinego był niezrównany, tak znakomicie w styl i fakturę pierwszego, w gorycz drugiego wcielać się umiał. Język jego utworów i tłumaczeń znakomity. Oryginalne utwory jego dramatyczne „Komedia" i „Dla miłego grosza" (ostatnia nawet premiowana w Warszawie i współcześnie z Korzeniowskim Józefem) miały niemałe powodzenie wśród czytającej i myślącej publiczności, ale grzeszą, moim zdaniem, przesadą i fałszem w charakterystyce pewnych grup społecznych *). Na scenie żytomierskiej i kijowskiej ostatnia miała powodzenie. W owej porze zalecał się mojej starszej siostrze, bardzo jeszcze młodziutkiej..." Z kolei następuje charakterystyka tej siostry, matki Josepha Conrada (t. II., str.14): „Starsza siostra moja, pięknej powierzchowności, wielkoświatowego układu, wyższego nad pospolity ówczesnych kobiet naszych poziom wykształcenia, znakomitego polotu umysłu i serca, — mniej łatwe miała usposobienie i potrzeby, — a w owej porze więcej wymagała, by się nią zajmowano, niż sama innym dać mogła i chciała. Dość słabego zdrowia, a walcząca między miłością do późniejszego męża i wiadomą jej wolą ojca, którego pamięć i zdania czciła, nie mogła zostawać w równowadze moralnej, — niezadowolona z siebie, nie mogła dać innym tego, co jej samej brakowało. Dopiero połączywszy się z ukochanym przez siebie człowiekiem, rozwinęła w dalszym życiu niepospolite zasoby umysłu i uczuć, rozumu i serca. Wśród najnieprzyjemniejszych kolei życia osobistego, w którym wszelkie niepowodzenia narodowego i społecznego objawiły się, umiała ona zawsze stanąć i najsilniej utrzymać się na stanowisku obowiązków żony, matki i obywatelki, zjednać sobie szacunek i cześć swoich i obcych, dzieląc wygnanie męża, i godnie reprezentować niewiastę polską".

W lipcu 1855 r. wyszła za Apolla Korzeniowskiego. Z początku młodzi Korzeniowscy zamieszkali w Łuczyńcu, dokąd przeniosła się matka młodej mężatki, Teofila z Pilchowskich. W następnym roku Apollo Korzeniowski zamieszkał z żoną we wsi Derebczynka, [illegible] od Teodora Sobańskiego. Tutaj to przyszedł na świat Teodor Józef Konrad Korzeniowski dn. 6 grudnia 1857 r. W t. II na str. 440 Tadeusz Bobrowski opowiada dalsze losy tego stadła i małego ich synka: „Pierwszą ofiarą padł mój szwagier Korzeniowski, który zwerbowany do Warszawy przez ruchowców, udał się tam pozornie dla zajęć literackich, ogłosiwszy „Słowo" w rodzaju „Revue de Deux Mondes", wybitne w ruchu warszawskim zajął stanowisko, lecz wkrótce, bo w październiku 1861 r. aresztowany został, a trzymany w cytadeli i sądzony był przez komisję, której prezesem był pułkownik Rożnow..." Dalej następuje szczegółowy opis podróży młodych zesłańców — Apolla Korzeniowskiego, jego żony i małego synka Konrada — najprzód do Permu a później do Wołogdy. Na przedostatniej stacji pod Moskwą dziecko rozchorowało się, a żandarmi odmówili zatrzymania „zsyłki". W Niżnim-Nowgorodzie pani Korzeniowska z sił tak opadła, iż ją z kibitki wynoszono na

*) Oprócz wymienionych przez Tadeusza Bobrowskiego utworów Apollo Nałęcz Korzeniowski ogłosił: „Strofy oderwane" przy „Komedii" (przerobionej z Gribojedowa „Gorie ot uma", Wilno 1856), — „Batożek" (komedia w 2 aktach), — „Co robić z tym fantem, co go trzymam w ręku?" (Warszawa 1862), — „Akt pierwszy" (dramat, Lwów 1869). — Przełożył „Alfreda de Vigny „Chatterton", Victora Hugo „Hernani" i „Marion Delorme".

(Dokończenie na str. 5)

Tragizm Conrada

(Dokończenie ze str. 1)

teraturze Anglii i Francji, a wiedząc o cudzoziemskim pochodzeniu Conrada, — usiłują bardzo lojalnie wytłumaczyć psychologię jego ludzi pojęciem „rasy", z której był rodem.

Nie wiedząc jednak nic bliższego o tej „rasie", natomiast wiedząc mętnie o jakimś „esprit slave" — Dostojewskim, krytycy „Nouvelle Revue Française" — nie mieli nic lepszego do zrobienia, jak przyrównać Conrada do pisarzy rosyjskich i nieomal że z literatury rosyjskiej wyprowadzić jego rodowód.

[...] To wtłaczanie Conrada w sferę wpływów, a tym bardziej pokrewieństw zupełnie obcych, musiało doprowadzić do naciąganej i nieprzekonywającej interpretacji jego dzieł, do przecenienia ich cech drugorzędnych i do zanotowania tylko mimochodem zasadniczego faktu, że Conrad wyróżniał się (spośród wielkich pisarzy rosyjskich) wolą moralną, mocno zaznaczoną, poczuciem honoru, zawsze czynnym, którego brakuje osobistościom rosyjskim (J. Kessel).

Pomijam już to, co słusznie podkreślił sam Conrad, że wielką część trudnych zalet jego dzieła trzeba przypisać jego osobistej indywidualności — lecz jeśli już mamy dociekać co prócz samego Conrada i jego przygód na szerokim świecie mogło tworzyć tajemniczą, rzadką, a tak niezbicie ludzką i tak jednak każdemu bliską psychikę jego ludzi, — to dla interpretacji tej sprawy lepiej jest nie uciekać się do mętnych, metafizycznych pojęć „rasy" i jej „ducha". I bezpieczniej jest na tej nieokreślonej podstawie nie budować tak bardzo określonych i pewnych siebie wniosków, jak to czynią francuscy i inni pisarze. Daleko rozsądniej będzie oprzeć się na konkretnych faktach indywidualnego życia Conrada, na p o l s k i m środowisku, z którego wyszedł, na znajomości literatur słowiańskich nie ograniczającej się do poprzestania na Dostojewskim, na zbadaniu stosunków Conrada do środowiska i literatury p o l s k i e j i wpływu, jaki ten stosunek mógł wywrzeć na jego życie.

Na tych najbardziej życiowych faktach, które działy się nie w trudnych do skontrolowania dziedzinach „rasy", ale pod znaną szerokością i długością geograficzną, — można dopiero budować ostrożne przypuszczenia co do genezy i znaczenia najzawilszych tajemnic twórczych Conrada.

Z tego co s[illegible] o Conradzie [illegible] przypuszc[illegible] należy dodać, że była to tzw. silna indywidualność. Silna — to znaczy nie ulegająca wszystkim wpływom, które na nią wywierało życie, ale raczej wybierająca te wpływy, które odpowiadały jej własnym tajemniczym pociągom. Raczej kształtująca okoliczności życia, niż pozwalająca im siebie kształtować.

Indywidualności takie były dość częstym zjawiskiem w Polsce, i Józef Conrad ma bardzo wielu braci, którzy od XV w. począwszy, w różnych epokach porzucali uporządkowane prawnie obszary ojczyzny, ażeby iść daleko na wschód w Dzikie Pola — tam, gdzie nie obowiązywało nic oprócz własnej godności, własnej siły moralnej, odwagi i zuchwałości. Przedsiębiorczości i niezależności tych ludzi Polska zawdzięcza swoją ekspansję na kresy wschodnie tyle samo co najmniej, co zarządzeniom państwa.

Jeśli tamtym „braciom Conrada" ciasno było w kraju wolnym i mocno szanującym szeroko pojęte prawa jednostki, cóż mówić o Conradzie, który obdarzony tą samą ekspansywną siłą, lecz w stopniu jeszcze bardziej spotęgowanym, znalazł się w ojczyźnie ujarzmionej, w ojczyźnie, gdzie w ogóle oddychać można było tylko kawałkiem płuc. W takich okolicznościach natężona siedemnastoletnia młodzieńczość Józefa Konrada Korzeniowskiego samą siłą napięcia gorących marzeń i żądzy czynu wypryska daleko i dąży bezpośrednio w kierunku oceanów. Oceany, może jako antyteza najwyższego ucisku indywidualności, mogły wydawać mu się jedynym już na świecie miejscem, gdzie indywidualność człowieka może jeszcze znaczyć wszystko lub nic.

Dość silny, aby chcieć stworzyć sobie swoje własne dzieje niezależnie od wszystkiego co odziedziczył, Conrad był też dość dojrzały, choć tak młody, aby można było powiedzieć, że zasadnicze podłoże jego kultury było już sformowane.

Sformowało się nie gdzie indziej tylko w Polsce — i aby wiedzieć, jakie składniki umysłowe i obyczajowe wnosił ze sobą w obcy świat, — trzeba pilnie badać, co wyniósł ze sobą z Polski.

Conrad udzielił w tej materii, tak samo jak i w rzeczy języka, dokładnych i świetnych wskazówek swym krytykom.

W omawianym tu już urywku jego wspomnień stwierdza on, że nie ma nic sprzeczniejszego z temperamentem polskim, niż to co świat literacki nazywa „esprit slave". Nadto charakteryzując w świetnym skrócie typ cywilizacji środowiska, z którego wyszedł, daje swoim krytykom niedwuznaczną wskazówkę, jakie są najbardziej zasadnicze cechy jego twórczości i gdzie należy szukać źródła i paraleli.

Krytycy nie skorzystali z tej cennej wskazówki, a nawet przy pozorach kurtuazji zlekceważyli ją, gdyż mówiła o rzeczy tak im nieznanej, że aż widać trudnej do uwierzenia.

Zgodnie jednak z tą wskazówką oraz istotnym stanem rzeczy, na miejsce bałamutnych dociekań nad pokrewieństwami z Dostojewskim należy postawić rzeczową analizę pokrewieństw z literaturą polską.

Conrad literaturę tę, szczególniej dawniejszą, znał doskonale i wpływy jej przyjął wdzięcznym sercem, co sam stwierdził chociażby we wspomnianym tutaj wywiadzie z r. 1914, kiedy powiedział m.in.: „Polskość wziąłem do dzieł swoich przez Mickiewicza i Słowackiego. „Pana Tadeusza" ojciec czytał mi głośno, i mnie czytać kazał głośno. Nie raz, nie dwa. Wolałem „Konrada Wallenroda", „Grażynę". Później wolałem Słowackiego. Wiecie, dlaczego Słowackiego? Il est l'âme de toute la Pologne, lui".

Byłoby drugą ostatecznością przypisywać tej literaturze zdecydowany wpływ na losy Conrada, na jego morskie tęsknoty na przykład. Jednak [illegible] dzieje [illegible] niż [illegible] [illegible] wpływów rosyjskości byłoby ustalenie faktu, że literatura polska tego czasu nie kusiła do pozostawania w ojczyźnie; że był w niej niepowstrzymywany pęd w świat i ponad siebie — i że ta rzecz mogła mieć swoje znaczenie we wrażliwym życiu przyszłego artysty. Nie od rzeczy też będzie zaznaczyć, że zapewne przez romantyczną literaturę polską Conrad poznał wielkiego poetę swej drugiej ojczyzny — Byrona.

Niezależnie od w p ł y w ó w, świadomie przez czytanie wchłanianych, w dziełach Conrada istnieją p o k r e w i e ń s t w a z literaturą polską, wynikające z należenia do tego samego narodu i dziedzicznego wchłonięcia w siebie jego cech.

Te duchowe pokrewieństwa istnieją szczególniej w stosunku do literatury wielkiego romantyzmu polskiego. Aby zaznaczyć tu tylko to, co mimochodem na myśl przychodzi, dałoby się je może odszukać między rzeczami Conrada a takimi utworami lub postaciami jak: Grażyna, „ojciec zadżumionych", Balladyna, Kordian, Beniowski, Farys, ksiądz Robak. — I znowu Conrad sam to poniekąd zaznaczył w cytowanym wywiadzie mówiąc: „Wszak jestem ostatnim romantykiem, prawda?"

Pokrewieństwa te sięgają jeszcze głębiej, aby objawić się w sekretach samej techniki pisarskiej Conrada — którą to rzecz podkreślił Stefan Żeromski w swej wspaniałej przedmowie do „Fantazji Almayera". Błyskawiczne myślowe opanowywanie niedającego się pomyśleć, które przypisuje Conradowi Fernandez, „zuchwała i poważna pogarda dla pierwiastku logicznego i krasomówczego przekonywania oraz opisowości", właściwych intelektualnej literaturze francuskiej, chwytanie zjawisk w stadium ich powstawania, — wydają mi się być cechami tkwiącymi głęboko w typie psychicznym polskich twórców, — cechami, które jednak prawie nigdy nie mogły się należycie rozwinąć, — dopiero w Conradzie, może w zetknięciu z podniętą angielskiej mowy, doszły do triumfalnego rozkwitu. Nieco ryzykowne, ale na pewno bliższe istoty rzeczy niż porównywanie z Raskolnikowem będzie znalezienie powinowactw między choćby księdzem Robakiem lub Wallenrodem, a niektórymi postaciami Conrada. Wszystko to zresztą nie przeszkadza szukaniu pokrewieństw Conrada z jakimikolwiek literaturami świata — więc i z rosyjską. Chodzi o to, że w tej pracy nie wolno pominąć powinowactw, które są najbardziej konkretne i zasadnicze, nie wolno brać jakiegoś bardzo dalekiego kuzyna za ojca czy za brata, pominąwszy tych, którzy byli nimi naprawdę.

Postać księdza Robaka (abstraction faite od wszystkich różnic jakie istnieją) nasunęła mi się tu parę razy pod pióro, gdyż reprezentuje ona dla mnie dramat nie zwyczajnej pokuty czy kary, ale wysoki pierwiastek odpowiedzialności odważnego człowieka za popełnione czyny, odpowiedzialności wobec podjętych zadań i uczynionych postanowień — pierwiastek zupełnego opanowania siebie i tzw. „dobrej służby".

Otóż poczucie odpowiedzialności jest zasadniczym składnikiem twórczości Conrada. Był nim obdarzony podobnie jak wszystkie wielkie indywidualności całego świata.

On sam nazywał swój kult odpowiedzialności wiernością, lojalnością, dobrą służbą.

Tę rzecz miał na uwadze we wszystkim co podejmował. Od zadania do zadania szedł przez coraz trudniejsze i w życiu i w pisaniu, wypełniając wszystkie, jeśli nie zawsze z równym szczęściem, to z surową, ascetyczną sumiennością. Poczucie odpowiedzialności stało się powietrzem jego życia i stało się powietrzem jego dzieła.

Nie zaniedbując ani przez chwilę innych czynników życia, sycąc nas jego oszałamiającą różnolitością, barwnością i radością, nie zawsze nawet poruszając ten przedmiot, Conrad potrafił przeniknąć nim swą twórczość w sposób przestraszająco mocny. Z poczucia obowiązku, z odpowiedzialności ludzkiej wobec podjętego zadania i wobec samego siebie, z rzeczy, które należą do kategorii raczej rozumowych na tym świecie, Conrad uczynił żywioł — nieomal piąty element świata. Uczynił instynkt.

Niewytłumaczonymi podstępami swego kolosalnego artyzmu nadał sprawie odpowiedzialności urok, jaki mają wszystkie rzeczy instynktowne i żywiołowe, oraz siłę tragiczną właściwą pierwiastkom natężonego życia uczuciowego — opanowanego przy tym przez nieznaną wolę.

Zasy[illegible] [illegible] pokojenie instynktu odpowiedzialności daje ludziom Conrada rozkosz, zapoznanie go czyni życie niemożliwym, jak głód, brak miłości.

Ludzie Conrada noszą w sobie swą godność, godność nadmierną, bohaterską, niby wielką namiętność, szukają karmu w najcięższych przedsięwzięciach. Cechę tę w cytowanym wyżej czasopiśmie francuskim świetnie określił August Saugére w słowach: „Nic nie brakłoby jego bohaterom, g d y b y p o z o s t a l i w i e r n i s o b i e. Przez to plan cierpienia jest przestawiony. Conrad daje nam nowy ośrodek wrażliwości etycznej".

Ta postawa przyniosła Conradowi wielkie triumfy, ale i zawsciągnęła tragiczny węzeł jego życia, węzeł przeczuwany niekiedy tam w świecie, w którym Conrad pisał, lecz na razie przy dzisiejszym stanie wiedzy o Polsce całkowicie dostrzegalny tylko dla nas.

Ustanowiwszy swój los tylko i jedynie według ideału, jaki nosił w sobie, Conrad życiem swoim napisał nowy rozdział ludzkiej wolności, która, mówiąc słowami Edwarda Abramowskiego „jest ledwo zaczęta". Żył tak, jak właściwie powinien żyć człowiek... Wolność, honor, odpowiedzialność i miłość do bohaterskiego pierwiastku życia, gdziekolwiek on się objawił, wypełniały jego dni.

Ten typ istnienia, który leży na linii rozwojowej cywilizacji Polski i który w Conradzie — wyniesiony z przepaści niewoli — został ocalony dla świata, nie został przezeń osiągnięty bezkarnie. Zapłacił zań spokojem swego serca.

Istniało bowiem coś, co w jego życiu stanęło w sprzeczności z instynktem wierności i lojalności.

Istniało porzucenie ojczyzny w dobie jej największego nieszczęścia. To prawda, że etyka Conrada obowiązywała do wierności raczej sprawom świadomie podjętym, niż zastanym i odziedziczonym.

Lecz trudno jest określić granice tej „konwencji". Polska wtargnęła w nie z wielu stron. Była ona nie tylko czymś zastanym, była również terenem dla zadań, stojących właśnie na poziomie takich ludzi jak Conrad — i była nadto miejscem, gdzie go najpierw na świecie kochano i gdzie sam powziął pierwsze młodzieńcze porywy.

Nie wyrzekł jej się nigdy i w cytowanym wywiadzie mówił: „Pali się we mnie wasz nieśmiertelny ogień. Mały on, une lueur tylko, ale jest, trwa". Z wrodzoną prawością nie nazywał płomieniem tego, co było zarzewiem. Lecz zarzewie to nie wygasło.

To musiało w jakiś sposób zacząć go zobowiązywać — narzucać się temu rzetelnemu sumieniu, i ujawniło się z mocą w niektórych jego utworach, zgodnie z przenikliwym zdaniem krytyka Wilama Horzycy, że „nikt nie wykłamie się z samego siebie w swej sztuce".

Tym bardziej nie chciał i nie mógł wykłamać się ten najrzetelniejszy bodaj ze współczesnych pisarzy. Przeciwnie, odkrył w swych dziełach najcięższe, najwstydliwsze zagadnienia własne, wyczuwszy ich ziarno w najbardziej różnorodnych przeżyciach ludzi rzuconych na wszystkie geograficzne szerokości.

Tragizm tej sprawy ujawniał się, aby sięgać z brzega, choćby w białym i szafirowym poemacie „Freja z siedmiu wysp", gdzie mimowolne chybienie podjętemu zadaniu sprowadza niemożliwość szczęścia i śmierć dwojga ludzi, i ujawnił się najklasyczniej w jednej z najpiękniejszych powieści świata, noszącej tytuł „Lord Jim" — na co już dosyć dawno zwracał uwagę tenże krytyk polski, Wilam Horzyca.

Podobnie jak dzieje się w tej powieści, Conrad nie mógł wyczerpać dramatycznego incydentu swej młodości.

Nic nie załatwia tej sprawy, jeśli pociągnąć ją na te wyżyny, których powietrzem on sam oddychał. Można to sto razy wytłumaczyć i usprawiedliwić cnotami wyższymi niż miłość ojczyzny. Można to uznać za grzech i rozgrzeszyć na mocy tego, że Conrad wypłacił się światu twórczością, tak samo wartościową, jak dzieło cywilizacji, którym ludzkość okupuje się Bogu za swój grzech pierworodny.

Lecz Jim-Conrad będzie szukał ciągle „okazji" do wyrównania rachunku lub poniesienia kary.

Będzie jej szukał to w chęci powrotu, to w dumnym zacięciu się w niepowrotności i samotności śród świata. Będzie jej szukał w poczuciu dokonanych czynów i ocalenia polskiej godności choćby wobec kapitana statku niemieckiego, o czym opowiadał w cytowanym tu już kilkakroć wywiadzie, mówiąc:

„Niemiecki okręt musiał mnie uznać za kapitana! Rozumie pan? Prusacy oddają nam honory! Uznają nas!"

I będzie jej szukał w dumie płynącej z tego, że jako nic nie znaczący chłopak z kresów został kapitanem marynarki angielskiej. Lecz to wszystko nie jest dosyć. Właściwa okazja nie nadejdzie już nigdy.

Polska odzyskała swą niepodległość. Stała się dość potężnym krajem, aby nie potrzebować ofiar z indywidualności, które ją chciały porzucić.

Funduje sobie przekłady Conrada, równe już obecnie co do piękności jego oryginałom, i lojalnie wyrzeka się go bez zastrzeżeń na rzecz literatury angielskiej. Okręt, który się palił, został ugaszony. Płynie pełnymi żaglami. Ten, który zeń swego czasu wyskoczył, — wyskoczył. Nikt mu tego nie pamięta, nikt już nie zażąda zapłaty. Stały się większe rzeczy od doli tego młodzieńca. Dumnemu wielkiemu starcowi nie pozostawało nic innego, jak w pokorze swej wielkości wrócić do ojczyzny i tu złożyć swe skołatane a tak niezmiernie ludzkie serce. Podobno ten zamysł powrotu był rzeczą postanowioną. Czy było tak, czy nie — s t w i e r d z o n a tęsknota jego ostatnich dni do Polski była czymś o wiele tragiczniejszym, niż to może sobie wyobrazić nawet tak fenomenalnie subtelny pisarz jak Galsworthy.

Śmierć zaskoczyła Conrada — powrót nie nastąpił — węzła tragedii nikt już nie rozplącze, lecz istotę jej ku pogłębieniu naszego życia możemy pomnożyć.

(Przedruk z „Wiadomości Literackich", nr 11 z r. 1925).

O Andrzeju Strugu

(wspomnienie)

EDWARD KOZIKOWSKI

ZNAJOMOŚĆ moja ze Strugiem datuje się od sierpnia 1920 roku i została zawarta na terenie Centralnego Komitetu Propagandy Związków Artystycznych, mieszczącego się naówczas w gmachu dawnego Konserwatorium Muzycznego w Warszawie, przy ulicy Ordynackiej.

Mało kto wie dzisiaj, co to była za instytucja i jaką spełniała rolę. Z krótkiego obowiązku podaję, że powstała ona w związku z toczącą się wojną polsko-bolszewicką i występującymi masowo objawami załamywania się ducha wśród żołnierzy polskich pod wpływem ponoszonych klęsk i nieustannego cofania się naszych armii. CKPZA powołany został do życia celem organizowania propagandy i podtrzymywania ducha w wojsku i w społeczeństwie. Zmobilizowano na podstawie zarządzenia wojskowego wszystkich literatów i artystów przebywających w Warszawie, utworzono komisje pracy dla każdej gałęzi twórczości, a komisje podzielono na sekcje według rodzajów danej twórczości. Prezesem Centralnego Komitetu Propagandy był poeta Edward Słoński, wiceprezesem artysta rzeźbiarz Stanisław Ostrowski, a sekretarzem plastyk Czesław Młodzianowski.

Członkom Prezydium, przewodniczącym komisji i delegatom stałym poszczególnych sekcji przysługiwało prawo noszenia mundurów oficerskich bez szarży. Spośród członków Prezydium w mundurze stale chodził jedynie Słoński, natomiast spośród członków komisji pracy najchętniej paradowali w uniformie wojskowym Wacław Grubiński i Juliusz Osterwa. Nie bez powodu użyłem tu zwrotu „paradowali", bo jakże inaczej nazwać to widoczne w każdym ruchu krygowanie się i tę przesadną w każdym odezwaniu się afektację, jaka z nich wyparowywała pod wpływem noszonego munduru, świetnie zresztą skrojonego i uwydatniającego omal nie apollińskie kształty obu kolegów. Trzeba było widzieć, z jakim szykiem przechodzili przez jezdnię, w jaki sposób salutowali spotykanych wojskowych, aby zrozumieć tę sugestywną siłę aktorstwa, która w pewnych okolicznościach stawała się ich drugą naturą.

W przeciwieństwie do nich Strug nosił jakąś wyszarzałą kurtkę ciemnozielonkawej barwy, prawdopodobnie przerobioną z frencza, i miękki kapelusz z opuszczonym od przodu w formie daszka rondem. Wyglądał jak typowy pogrobowiec dawnych działaczy socjalistycznych z 1905 roku, upamiętnionych w doskonałych rysunkach Antoniego Kamieńskiego.

Wiem, że Strug brał niezwykle czynny udział w pracach CKPZA i chociaż nie zasiadał w Prezydium, znać było jego rękę w wielu poczynaniach tej instytucji.

Z notatek moich, które się zachowały, cytuję wypowiedź jego wygłoszoną na posiedzeniu Komisji Pracy Literatów CKPZA w dniu 2 sierpnia 1920 roku: „Stronę duchową żołnierza polskiego zaniedbano. Robotę tę musimy podjąć my — literaci. Wszak literatura może w to włożyć odpowiednie piękno i głębię. Trzeba pisać broszury. Dotąd robią to oficerowie dyletanci, a powinni to robić literaci zbiorowo. Nie tylko bowiem żołnierze łakną słowa ciepłego dla podniesienia ducha, lecz i oficerowie. Do tego warsztatu pracy potrzebni są ludzie o ustalonych przekonaniach, gdyż oni tylko mogą dać prawdziwy pokarm miłości ojczyzny. Pracę propagandy trzeba oprzeć na ideologii trwałej i mocnej. Literatura powinna stworzyć ideologię apolityczną i ponadpartyjną, która się przeciwstawi hypnozie i ideologii strony przeciwnej. Trzeba wzbudzić w żołnierzu przekonanie, że walczy za ideę pozytywną, a nie fantasmagorię. Duch żołnierza polskiego ‚doświadczonego w tylu bojach a obecnie zachwianego wskutek przyczyn nie od niego zależnych, da się uratować niezawodnie. Trzeba tylko wytężyć siły, którymi rozporządzamy". W trzy tygodnie później, gdy sytuacja na froncie zaczęła ulegać zmianie, Strug już troszczy się dniem jutrzejszym i sądzi, że czas pomyśleć „o pracy literackiej dla przyszłości. Żołnierza trzeba wesprzeć moralnie, a to uczynić może propaganda, która już dzisiaj powinna wypracować plan dla niedalekiej przyszłości, związanej zwłaszcza z demobilizacją". W parę dni potem kontynuując myśl swoją, Strug podkreśla z naciskiem, że „sprawa rolna jest główną osią zainteresowań naszych żołnierzy, którzy przeważnie pochodzą ze stanu włościańskiego. W odezwach, pismach ulotnych i broszurach, a także w artykułach do czasopism, rozchodzących się na froncie, sprawa rolna powinna być najczęściej poruszana. Również należy wyjaśniać żołnierzowi, co go czeka po końcu wojny, jaką opiekę i wdzięczność okaże ojczyzna swoim obrońcom". Nie kończy się na tym. Strug zresztą w tych przełomowych momentach przychodzi na każde posiedzenie z podziwu godną wytrwałością. Po paru dniach

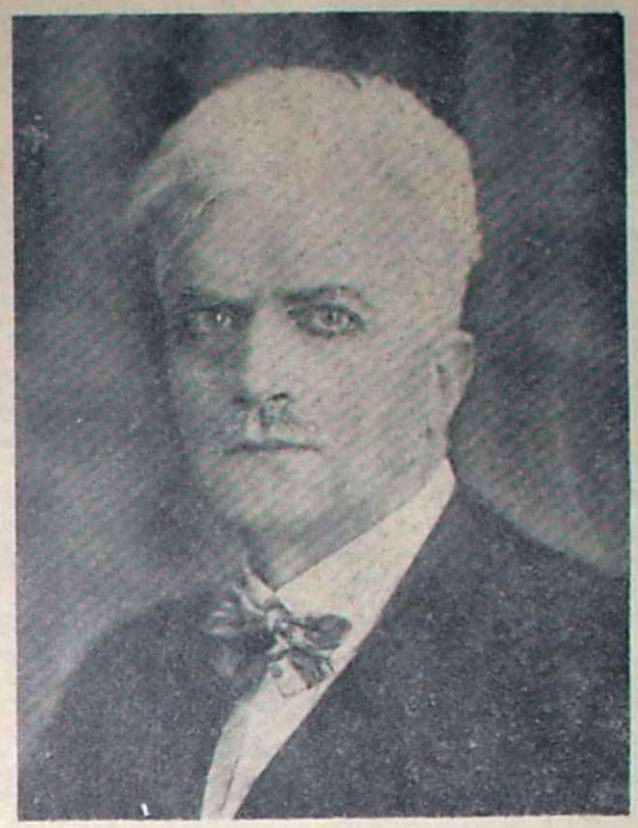

znów zabiera głos i stwierdza, że „dotychczas propaganda polska szła drogą negatywną. Nadchodzi czas udzielenia pozytywnej odpowiedzi. Propaganda polska musi stanąć na gruncie zmian społecznych, na podstawach bardziej rzeczowych. Trzeba powiedzieć, że i Polska dąży do zmian społecznych, rzecz prosta, nie taką drogą, jak przeciwnicy nasi. Należy przekonywać masy o wszystkich błędach przeciwników, propagując hasła zmian społecznych, umiarkowane, ale konkretne. Będą one może pewnym odłamom reakcji polskiej nie na rękę, ale wśród mas doznają serdecznego przyjęcia".

Przytaczam skwapliwie te tak charakterystyczne dla tamtych czasów wypowiedzi Struga, mniemam bowiem, że są nieznane szerszemu ogółowi. Z drugiej strony trudno przypuszczać, ażeby materiały archiwalne CKPZA zdołały się zachować, biorąc pod uwagę i rozgardiasz panujący w tej instytucji, i czasy Powstania Warszawskiego, gdy to ginęły setki tysięcy cennych dokumentów.

Któregoś wieczora, odprowadzając Struga do domu, mieszkaliśmy bowiem w jednej stronie, on na Bagateli, ja na Puławskiej, dowiedziałem się od niego, że są poważne trudności w uruchomieniu Związku Literatów, powstałego na Zjeździe w Warszawie w maju 1920 roku. Brak lokalu — to drobnostka, bo można zaczepić się o jakąś instytucję, odnajmując pokoik do użytkowania w godzinach popołudniowych. Gorzej sprawa wygląda z sekretarzem, którym wybrano Ludwika Skoczylasa, mieszkającego stale w Krakowie, a nie ma funduszów, aby go sprowadzać do Warszawy na każde posiedzenie Zarządu. A tu jeszcze trzeba, żeby ktoś urzędował systematycznie w sekretariacie, przyjmował interesantów i ciągnął tę robotę biurową, bo od tego przecież zależy w pewnym stopniu życie organizacji. Nic na to nie odpowiedziałem, choć domyślałem się, w jakim celu Strug wszczął taką rozmowę. Nie chciałem po prostu, aby propozycja wychodziła ode mnie, aby to nie wyglądało na chęć narzucania się z mojej strony. Nie taję wszakże, że dla młodego i początkującego poety, jakim wtedy byłem, zarysowująca się perspektywa obcowania i przestawania z takimi pisarzami, jak Żeromski, Sieroszewski, Reymont, Irzykowski, Strug, czy nawet Nałkowska, którzy wchodzili w skład pierwszego Zarządu Związku Literatów, była naprawdę niezwykle nęcąca.

Po tygodniu Strug wręcz mnie zapytał, czy nie zechciałbym pracować w Związku w charakterze sekretarza na miejsce Skoczylasa, który zgłosił rezygnację ze swego stanowiska, zaznaczył przy tym, że propozycja, z jaką występuje, została uzgodniona z większością członków Zarządu. Odpowiedź moja była krótka i prosta: że propozycję przyjmuję, gdyż jest to dla mnie zaszczytem niemałym. Po złożeniu takiego oświadczenia zostałem na najbliższym posiedzeniu kooptowany do władz związkowych. Tak się

(Dokończenie na str. 6)

JOSEPH CONRAD

(Dokończenie ze str. 3)

stację. „W Wołogdzie zastali 21 mężczyzn, — pisze Tadeusz Bobrowski — przeważnie księży z Królestwa i Litwy, siostra moja była 22-ą, a ich synek 23-ą osobą, składającą owoczesną kolonię polską w Wołogdzie". Z tego czasu pobytu w Wołogdzie przechowały się listy Apolla Korzeniowskiego pisane do krewnych w kraju. Część ich ogłosił „Tygodnik Illustrowany", inna część znajduje się w „Bibliotece Jagiellońskiej. Listy te należą do cennych skarbów literatury polskiej. Przedmiotem ich jest ów mały, sześcioletni chłopczyk Konradek, wygnaniec w krainę zimy i szkorbutu. Trwoga i troska o niego przewija się poprzez te zżółkłe, smutne karty...

W r. 1863 pozwolono Korzeniowskim przenieść się z Wołogdy do Czernichowa. „Siostrze mojej — pisze pamiętnikarz na str. 441 — która liczyła się tylko towarzyczącą mężowi, pozwolono dla „familijnych interesów" na parę miesięcy przyjechać do mnie. Zdrowie jej było już wtedy widocznie bardzo nadwerężone i wymagało najprzód dłuższego wypoczynku, następnie trosskliwej kuracji, lecz ani jednego, ani drugiej osiągnąć nie mogliśmy, bowiem po upływie owych paru miesięcy ówczesny nasz wielkorządca, generał-gubernator Bezak, rozkazał: by jej dłużej pod żadnym pretekstem przebywać nie pozwolić, a gdyby się chorobą składała, polecił sprawnikowi skwirskiemu do lazaretu do Kijowa ją dostawić, czego unikając, sam sprawnik, poufnie mnie ostrzegł, pragnąc się od owej ostateczności uwolnić. Wyjechać więc w pierwszych dniach jesieni 1863 musiała do Czernichowa, dokąd towarzyszyła jej matka.

Wuj mój Pilchowski Adolf, wysłany w jesieni 1861 r. w tzw. „porządku administracyjnym" (tj. bez sądu, a tej kategorii rozkazano następnie wyprzedać majątki w ciągu lat trzech, które zostały sprzedane za bezcen), przeznaczony do Orenburga" ... —ciągnie dalej spokojny narrator possessionatus. Nie możemy, niestety, za nim podążyć i, dla braku miejsca, przytoczyć wszystkiego, co pisze o najmłodszym z tej rodziny, bracie matki Josepha Conrada — Stefanie Bobrowskim, członku Rządu Narodowego, nieustraszonym działaczu, spiskowcu i emisariuszu, który zginął dn. 2 kwietnia 1862 r. w pojedynku z Grabowskim. Ten dwudziestodwuletni młodzieniec, jeden z geniuszów powstania, jedna z jego gwiazd przedwcześnie zgasłych, ginie wpół drogi, z ręki rodaka. „Zgon jego — pisze Bobrowski — utrzymywaliśmy w sekrecie przed matką, aż do jesieni 1863 r., która w przejeździe z Kijowa do Czernichowa, zasłyszawszy na stacji rozmowę podróżnych: czy jest matką poległego w pojedynku? — dowiedziała się o katastrofie". Kiedyś, w jesieni 1873 r. w Krakowie przyniesie jej osoba nieznana zbroczoną koszulę, pęk włosów i list pożegnalny...

Matka Josepha Conrada zmarła w Czernichowie, ojcu pozwolono wyjechać za granicę. Przeniósł się do Krakowa i tu zmarł w r. 1896. Mały Konradek pozostał sam pod opieką wuja Tadeusza, dla którego żywił zawsze najżywsze uczucia i któremu dedykował pierwszą swą powieść „Almayers Folly". Tak przynajmniej zdają się wskazywać litery dedykacji: „T. B".

O swym pobycie w Krakowie, pierwszej szkole na ulicy Floriańskiej, chorobie, śmierci i pogrzebie ojca opowiedział już sam Joseph Conrad w szkicu pt. „Poland Revisited", opowiedział w sposób cierpki i zimny. Przytoczyłem był w przekładzie urywki z tej opowieści w przedmowie do t. I zbiorowego wydania pism angielskiego autora. Stanęło, widać, znowu dookoła niego to koło zaklęte rycerzy pobitych — ojciec, matka, wuj, dwaj bracia ojca i ten ostatni, junak, najmłodszy Stefan Bobrowski. Dobrzy czy źli, cnotliwi czy ułomni, lecz aniołowie tej walki przepotężnej a przegranej, smutni, pełni boleści swych, na mieczach swych oparci. Oto to koło, ten łuk boleści, straszliwie, nad miarę strzymania, naciągnięty, wyrzucił go, zdaje się, niegdyś z ojczyzny.

W szkicu pt. „First News", pisanym w roku 1918, Joseph Conrad opowiada swym czytelnikom, iż bibliotekarz Biblioteki Jagiellońskiej (a więc znakomity nasz człowiek, jeden ze świetnych umysłów, zgasły przedwcześnie dr Józef Korzeniowski), powiedział za bytności w Krakowie w 1914 roku, iż Biblioteka posiada spory zwitek listów Apolla Korzeniowskiego, w których jest wciąż mowa o nim, jako o małym Konradku. Były to listy pisane między r. 1860—1863 do pewnego bliskiego przyjaciela, w którego papierach się znalazły. Joseph Conrad wybrał się do Biblioteki w towarzystwie swego starszego syna, o którym mówi: „The attention of that young Englishman was mainly attracted by some relics of Copernicus in a glass case". O sobie zaś mówi: „I saw the bundle of letters"... Tak to trzymając w ręku zwitek listów ojcowskich, ostatniego posłania tamtego koła, syna swojego mianował Anglikiem.

Dziś wszystko to już jest przeszłość i proch. Czcimy w Josephie Conradzie wielkiego pisarza i znakomitego człowieka. Pragniemy, by lekka mu była ziemia, którą wybrał i gdzie spoczął po długim swym trudzie. Składamy na jego mogile kwiaty z pól naszych, — już wolnych, — wyrosłe z prochu męczenników i aniołów wolności, wierząc, iż najgodniej go czcimy.

(Przedruk z „Wiadomości Literackich", nr 33 z 1924 r.)

O Andrzeju Strugu

(Dokończenie ze str. 5)

zaczęła moja praca w Związku Literatów i trwała bez przerwy przez lat niemal dziewiętnaście, do chwili wejścia hitlerowców do Warszawy.

POCZĄTKI tej pracy były niesłychanie ciężkie. Urzędowało się w małym, ciasnym i ciemnym pokoiku, w dodatku nieogrzewanym, odnajmowanym od Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w domu przy ulicy Brackiej 5. Nie było z reguły pieniędzy, i na kupno materiałów piśmiennych czy znaczków pocztowych robiło się doraźną składkę wśród członków Zarządu. Listy pisało się odręcznie, gdyż nie było maszyny do pisania, a stosunki z sąsiadującym o ścianę Towarzystwem Literatów nie należały do najlepszych. Traktowano nas jako intruza, a w najlepszym razie jako dalekiego i ubogiego krewnego.

Strug wpadał nieraz w godzinach mego urzędowania i przynosił pod pachą paczki papieru i kopert, mówiąc, że udało mu się wycyganić od ludzi coś niecoś dla Związku. Zapowiadał z uśmiechem, że i maszyna do pisania zjawi się niedługo i w ogóle będziemy leżeć na pieniądzach. Zapewnienia te puszczałem mimo uszu, choć — kto wie — myślałem w chwilach przypływu optymizmu — Strug zazwyczaj słów na wiatr nie rzuca, więc może i tym razem słowa nabiorą kształtów realnych. W parę miesięcy potem była już maszyna do pisania, wypożyczona nam przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej i zarazem wpłynęła do kasy naszej subwencja z tegoż Ministerstwa, wynosząca sto tysięcy marek polskich. Później opowiadał mi Tadeusz Ulanowski, autor świetnej trylogii powieściowej, satyryczno-politycznej, i wyższy urzędnik w ówczesnym Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, że stało się to wszystko dzięki Strugowi, który poruszył ziemię i niebo, aby pośpieszono z pomocą Związkowi.

Strug nie poprzestawał na wykorzystywaniu wpływów swoich wśród „możnych" tamtych czasów. Prowadził na własną rękę mobilizację chodzących luzem pracowników pióra, zgłaszając na każdym niemal posiedzeniu deklaracje nowych członków. Można powiedzieć bez przesady, iż, zawdzięczając Strugowi, stan liczebny członków stawiającej pierwsze kroki organizacji pisarskiej tak dalece się powiększył, że niewielkie opłaty członkowskie pokrywały wszelkie wydatki związane z funkcjonowaniem biura aż do czynszu za pokoik włącznie.

Ponieważ prace Komisji Kodyfikacyjnej, która miała na warsztacie ustawę o prawie autorskim, posuwały się w zwolnionym, iście żółwim tempie, i trudno było żywić jakąkolwiek nadzieję, aby ustawa została wniesiona na forum Sejmu wcześniej niż za parę lat, Zarząd Związku Literatów rozpoczął rozmowy ze Zjednoczeniem Związków Drukarskich na temat ujawniania przez drukarzy wszelkich faktów dodrukowywania, na zlecenie wydawcy, egzemplarzy książek ponad przewidzianą w umowie liczbę. Rozmowy ciągnęły się bez końca, drukarze ociągali się z podpisaniem takiego zobowiązania i myślmy, prawdę mówiąc, mieli już dosyć tych gadek, w które wleźliśmy po same uszy. Co niektórzy z nas machał ręką, rad by dać wreszcie spokój i skończyć z tą sprawą. Strug jednak nie dał za wygraną, poszedł sam do drukarzy, wytłumaczył im, że postępują co najmniej niewłaściwie wobec pisarzy, zdanych na łaskę i niełaskę wydawcy, a ponieważ miał duży mir w sferach robotniczych i z jego zdaniem liczono się poważnie, drukarze układ podpisali, nie zgłaszając żadnych zastrzeżeń do zaprojektowanego przez nas tekstu.

Minęło od tego wydarzenia kilka tygodni. Strug przestał zaglądać do Związku, na posiedzenia nie przychodził. Wiedzieliśmy, że wykańcza książkę, a ponieważ zwykle pracował w porze nocnej, w dzień odsypiał czas niedospany w nocy. Miał przy tym zwyczaj nie widywania się z nikim w okresie pisania. Nie oglądaliśmy go więc całymi miesiącami. Tymczasem Wacław Sieroszewski, który zajmował stanowisko prezesa Związku, zgłosił na jednym z posiedzeń rezygnację, gdyż wybierał się na czas dłuższy za granicę. Debatowaliśmy długo co począć. Padały różne nazwiska kandydatów na prezesa. Prześlizgiwaliśmy się po nich i gładko i szybko. Wreszcie zatrzymaliśmy się przy nazwisku Struga, a ponieważ kandydatura ta znalazła poparcie ustępującego prezesa, postanowiliśmy pomówić na ten temat bezpośrednio ze Strugiem.

Nazajutrz po południu wybraliśmy się we dwóch, Zygmunt Kisielewski i ja, do mieszkania Struga. Pani Honorata, pierwsza żona Struga, wpuściła nas do mieszkania po długich targach i ceregielach. Zastaliśmy Struga w usposobieniu, którego nie ryzykowałbym nazwać pogodnym. Widać, że był wyczerpany ustawiczną po nocach pracą. Z rozmowy, która miała nastąpić, nie wróżyłem wiele pomyślnego. Właśnie Kisielewski był przy głosie. Dość szybko wyklarował, z czym przychodzimy i — o dziwo! — Strug nie wdając się w żadną dyskusję i nawet w rozmowę, odpowiedział krótko i węzłowato: — No, dobrze! Prawdopodobnie jednak wyczytał z mego wzroku, że sprawił mi zawód tą dość raptowną decyzją, bo po chwili dodał: — Wycelowaliście w sam raz! Lepiej nie można było! Dziś nad ranem dojechałem właśnie do końca i w tej chwili odczuwam to samo, tak mi się wydaje, co kobieta po wydaniu na świat dziecka.

Odkąd wziął na siebie obowiązki prezesa, do Związku zaglądał dość często i posiedzeń z reguły nie opuszczał. Jeśli zachodziła potrzeba, interweniował osobiście w wielu sprawach wymagających autorytatywnej postawy i nieustępliwości. Dość częste były w latach 1922—1923 konflikty z cenzurą, która z poematów i utworów beletrystycznych skreślała nieraz większe fragmenty lub po prostu konfiskowała książki. Młodzi autorzy o bardziej krewkich i niezrównoważonych temperamentach byli z zasady uwikłani w skomplikowane perypetie i zatargi z Urzędem Prasy i gdy żadne tłumaczenia z ich strony nic wskórać nie mogły, oddawali się pod skrzydła opiekuńcze Struga, który udawał się z winowajcami do cenzury i tam, na miejscu, zawsze coś wytargował dla swoich pupilków. Żyją jeszcze wśród nas pisarze, którzy doświadczyli tego na własnej skórze i pamiętają niewątpliwie, co dla nich zdołał uczynić Strug dzięki osobistemu wstawiennictwu.

Gdy obiegające od dłuższego czasu wieści o tragicznej śmierci Tadeusza Micińskiego znalazły, niestety, potwierdzenie, a od osób wiarogodnych dowiedzieliśmy się, że pozostała po nim w Rosji pokaźna paka rękopisów, Strug wszczął zabiegi, aby rękopisy sprowadzić do kraju. Nie wiem, jakimi i drogami szły te poszukiwania, bo Strug nie był skłonny do zwierzeń i z zasady kart nie odkrywał, przynajmniej w tym okresie, gdy sprawa nie była jeszcze wyjaśniona, dość że w parę miesięcy potem placówka dyplomatyczna w Moskwie dostarczyła nam walizę z rękopisami Micińskiego. Zawiadomiłem zaraz telefonicznie Struga o nadeszłej przesyłce. Przyjechał natychmiast. Otworzyliśmy walizę. Była wypełniona po brzegi manuskryptami. Pamiętam, jak Strug przerzucił szereg kartek wypełnionych szybkim i nerwowym pismem poety, zadumał się i rzekł z melancholią w głosie: — Tak! i to wszystko, co po nim zostało... tak mało, a może tak wiele... Dobrze chociaż, że dało się uratować te papiery... Teraz trzeba tę garstkę myśli i uczuć poety starannie zachować, aby nic z tego nie zginęło... a potem wydrukować... niech przynajmniej ślad zostanie...

W porozumieniu z rodziną Micińskiego, z żoną, córką i synem, przekazałem całą puściznę po nim Arturowi Górskiemu, który miał zająć się uporządkowaniem rękopisów i przygotowaniem ich do druku. Wiem, że były poważne trudności, zarówno z uporządkowaniem manuskryptów, jak i z ich wydaniem. Zawartość wszystkich tek miano wydać w dziesięciu tomach. W rezultacie ukazał się przy pomocy finansowej Instytutu Literackiego w Warszawie poemat prozą „Niedokonany" i opowieść „Mene-Thekel-Upharisim". Nie wiadomo, co się stało z pozostałymi manuskryptami. Jeśli zginęły w czasie Powstania Warszawskiego, strata to niepowetowana. Ulegam złudzeniu, choć nikłe są nadzieje, że tak się nie stało. Minęło przecież od tej pory trzynaście lat i żadna z osób zainteresowanych w tej materii głosu nie zabrała. Miarodajna wypowiedź Artura Górskiego, pod którego opieką znajdowała się cała puścizna Micińskiego, rozwiałaby zapewne istniejące wątpliwości.

DO Związku Literatów w owych czasach należeli w większości pisarze o przekonaniach demokratyczno-radykalnych. Strug wychodził z założenia, że organizacja zawodowa, jaką był ponad wszelką wątpliwość Związek Literatów, powinna skupiać wszystkich pisarzy bez względu na ich przekonania polityczne. Sugestie te zresztą miały swe źródło w zaleceniach odgórnych. Szło o to, aby do współpracy wciągać na każdym odcinku ludzi z różnych obozów. Próby w tym kierunku czynione przez Struga dały skromne zaledwie rezultaty. Znalazły one wyraz w przystąpieniu do Związku kilkunastu pisarzy o przekonaniach prawicowych, przy czym na wniosek Struga wprowadzono do władz dwóch pisarzy z tego obozu. Strug miał niełatwe zadanie do spełnienia. Trzeba było postępować ogłędnie, aby nikomu się nie narazić i siebie na szwank nie wystawić. Wystarczyło obserwować Struga w czasie posiedzeń, aby się zorientować, ile go takie lawirowanie kosztowało nerwów i zabierało cennego spokoju. W rozmowach ze mną dawał upust żalom i turbacjom swoim, nie ukrywając zniechęcenia, jakie go opanowywało, i wyrażając przekonanie, że chyba nie nadaje się na przewodniczącego.

Morderstwo dokonane przez wyższego urzędnika Departamentu Sztuki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na osobie Prezydenta Gabriela Narutowicza wstrząsnęło Strugiem dogłębnie. Zazwyczaj spokojny i opanowany, na wiadomość o zbrodni nie potrafił ukryć wzburzenia, jakie nim owładnęło, i głosem podniesionym piętnował zabójcę i tych wszystkich podżegaczy, którzy do zbrodni doprowadzili. Nigdy nie widziałem Struga tak podnieconego, jak wtedy, gdy ze mną rozmawiał w parę godzin po dokonanym morderstwie.

Tak się złożyło, że w tym niesławnej pamięci dniu — 16 grudnia 1923 roku — miało się odbyć doroczne walne zebranie członków Oddziału Warszawskiego Związku Literatów. Na oznaczoną godzinę przybyło kilkadziesiąt osób, zwabionych nie tyle przewidzianym porządkiem obrad, ile wypadkami w tym dniu zaszłymi. Na znak żałoby Strug odwołał zebranie, a otworzył wiec pisarzy dla zaprotestowania przeciw haniebnej zbrodni.

Sala na ulicy Brackiej po prostu kipiała. Nie szczędzono ostrych słów, a nawet gróźb pod adresem moralnych sprawców zabójstwa. Żądano najsurowszych represji i kar. Powieściopisarz Maciej Wierzbiński, ówczesny współpracownik prawicowej „Rzeczypospolitej", wybiegł z sali jak oparzony, na pożegnanie trzasnąwszy z całych sił drzwiami. Zgłoszono szereg rezolucji, z których najpoważniejszą liczbę głosów zdobyła rezolucja zgłoszona przez Juliusza Kadena-Bandrowskiego i Antoniego Słonimskiego, o treści następującej: „Do wszystkich Obywateli Rzeczypospolitej Polskiej! Wobec ohydnego mordu, dokonanego na osobie Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza, — my, literaci polscy, rzucamy piętno hańby na wszystkich moralnych sprawców niesłychnej w dziejach Polski zbrodni. W dniu pohańbienia Ojczyzny, w dniu walki o praworządność i demokratyzm w państwie, ślemy wam ten głos przepojony goryczą. Niechaj natchnie on was wiarą w prawdziwe braterstwo pisarzy polskich z ludem pracującym demokratycznej Polski".

Po ogłoszeniu w pismach tego oświadczenia przyszło organizacji warszawskiej przeżywać ciężkie chwile. Oddział Wielkopolski pod przewodnictwem Bolesława Koreywy, powołany do życia w roku 1921, wyłamał się spod wpływów organizacyjnych Warszawy i postanowił działać jako organizacja niezależna. Kilku członków, oczywiście z obozu prawicowego, zawiadomiło nas o swym wystąpieniu z Oddziału Warszawskiego, ze szpalt prasy reakcyjnej sypały się pod naszym adresem wyzwiska i inwektywy. Strug uśmiechał się sarkastycznie, gdyśmy na posiedzeniach Zarządu odczytywali listy występujących, poparte „rzeczowymi" uzasadnieniami, brał ode mnie odczytywane listy, przeglądał je z uwagą, a nad jednym z nich — pamiętam, jakby to było przed paroma dniami — pewnej pisarski, zatrzymał się nieco dłużej i przyjrzawszy się zwróconej legitymacji, zauważył nie bez ironii: — Jak to jednak pozory mylą, bo sądząc z fotografii dość przyjemnej, robi wrażenie osoby rozumnej, a przy tym uczciwej... Ktoś z obecnych przypomniał w tym miejscu biskupa Ignacego Krasickiego, który na ten temat wypowiedział się dość bezkompromisowo: „Pod jagnięcym pozorem ukrywa jad wilczy"...

W końcu stycznia 1924 r. Strug złożył mandat prezesa, motywując rezygnację koniecznością zabrania się do pracy i wykończenia dawniej rozpoczętych powieści. Pozostał jednak w dalszym ciągu w Zarządzie, zjawiając się od czasu do czasu na posiedzeniach, okazując niezmienne zainteresowanie sprawami związkowymi i śpiesząc z pomocą i radą, gdy tego wymagały okoliczności. Pracował z nami do końca 1924 r., wreszcie oświadczył, że wyjeżdża na dłużej z Warszawy i musi złożyć mandat członka Zarządu. Pożegnaliśmy go z żalem, zdając sobie sprawę, że tym razem odchodzi na czas dłuższy.

Ten pierwszy okres pracy Struga w Związku Literatów przypieczętowany został bankietem, który urządziliśmy w grudniu 1926 r. dla uczczenia dwudziestopięciolecia jego pracy pisarskiej.

Edward Kozikowski

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Pod niebem wyobraźni

Cytryna w mojej herbacie
jest aromatycznym gajem cytrynowym,
ziarnko kawy jest plantacją,
a chleb leżący na stole
wykłasza mi się w zbożu całego świata.
Mogę być sobą:
z lekka łaskawie uznawanym poetą
i również mogę być nie sobą:
drzewem rozgałęzionym podobłocznie,
szarym przydrożnym kamieniem,
korsarzem, malarzem flamandzkim z fajką w zębach,
Europą, Ameryką, Azją, Afryką i Australią,
biednym i bogatym,
oszukującym i oszukiwanym
i również mogę być łódzkim kominem
i gwiazdą wieczorną świecącą nad nim skroś dym,
jak łza świeci skroś żal.

Janosik

Zbójnik Janosik ma siedem ciupag.
Gdy jedną uderzy — góry się rozstępują.
Drugą uderzy — spod ziemi wyskakuje wrony koń.
Trzecią uderzy — gra wąsata kapela zbójnicka.
Czwartą uderzy — z glinianych dzbanów płynie wino gęste i wystałe.
Piątą uderzy — stu zbójników tańczy zbójnickiego.
Szóstą uderzy — wszystkie skarby ukryte w ziemi stają się jego.
Siódmą uderzy — dawna sława zbójnicka zmartwychwstaje.
Zbójnik Janosik ma siedem ciupag,
siedem chmur nad głową i jedną ukochaną — śmierć.

Nelly and Johnny

STEFAN WOLSKI

ZESZLI z górki, skręcili za wysoki płot otaczający jakiś rozległy ogród i weszli na ścieżkę między dwoma łanami żyta. Janek trzymał Anielę za rękę. Mówiąc zaciskał chwilami swoją dłoń na jej małej piąstce.

— I wiesz... Jak się tak przypadkiem spotkali koło tej fontanny, to Staszek powiedział Mańce, że ona ma zadziwiająco krótką pamięć, bo on ją wtedy miał, a ona tego nie pamięta. Powiadam ci, babka zrobiła minę... co za minę. Zapytała go ze złością, kiedy to było. No i Staszek przypomniał, że to było wtedy, kiedy się tak wszyscy wiali w dechę na imieninach Władka. Kręciła głową, marszczyła to swoje wypukłe czoło i kazała sobie dokładnie opowiedzieć. Rozumiesz? Dokładnie opowiedzieć... To Staszek jej mówi: było tak i tak, koło tego nocnego lokalu... Wiesz, tam jest taki skwerek... No i Staszek powiedział, że jeśli Mańka chce, to on może to zaraz odtworzyć, bo co tam słowami... Dała mu w gębę i ciągle dziwiła się, bo ani rusz nie mogła sobie przypomnieć. — Przerwał i uważnie popatrzył na Anielę. — No co, nie byczy kawał? Powiedz, Nelly, nie byczy kawał? — Znów ścisnął jej rękę i zaśmiał się.

Aniela nie była pewna, czy powinna coś powiedzieć. Właściwie trzeba by mu też dać w gębę. Ale kochała Janka, zaczęła więc po chwili namysłu:

— Po co mi to mówisz, Johnny? Ja tego nie mogę zrozumieć. Ja... mnie... — jąkała się, dłoń jej w jego ręce zwilgotniała. Wreszcie zamilkła, wbiwszy oczy w ziemię.

— Jak to nie rozumiesz?... Ona wcale nie pamiętała, że coś między nimi było; od tego czasu do tej ich rozmowy upłynął cały rok, a ona wcale nie wiedziała, że ze Staszkiem... Ha, ha, ha... Ale draka! — Janek zanosił się od śmiechu.

— Johnny — powiedziała nieśmiało — ojciec dzisiaj też mówił, że jak nas razem spotka to...

— To co?

— To ci kości połamie.

— Eee... nie tak prędko. Zresztą my już postaramy się, żeby nas nie spotkał. No nie, Nelly?

— Tak, Johnny.

Zatrzymali się. Aniela podniosła głowę i nieuważnie obserwowała skowronka trzepocącego skrzydełkami wysoko nad nimi, potem zwróciła oczy na Janka. Stał przed nią smukły, opalony; kraciasta koszula, rozpięta swobodnie na piersiach, ukazywała jędrne brązowe ciało. Ubrany był w bardzo wąskie spodnie z czarnego struksu, ozdobione koło kieszeni i wzdłuż szwów metalowymi blaszkami. Blaszki wyglądały jak główki dużych gwoździ. Z tych spodni Janek był bardzo dumny; mówił, że to są oryginalne „teksasy". Na nogach miał brązowe półbuciki na bardzo wysokiej podeszwie. Z czułością i z podziwem spojrzała na czarną szopę jego włosów opadającą na szerokie czoło. Wiedziała, że chodzi mu o ukrycie brzydkich, czerwonych pryszczy, które ostatnio mocno zaatakowały całą jego twarz, a szczególnie czoło. Współczuła mu, bo sama dopiero niedawno pozbyła się krost.

— Popraw się, Johnny — zmieniła nagle temat. — Kazałeś mi czekać na siebie pół godziny, a teraz opowiadasz takie... niepotrzebne rzeczy, takie... brzydkie...

— Brzydkie!... — wykrzyknął — Co ty? Taka z ciebie postępowa kobieta? No wiesz... Każda dewotka z waszej szkoły potrafi tylko tyle powiedzieć.

Aniela nie chciała, ażeby nazywano ją dewotką. To byłoby równoznaczne z osamotnieniem. Milczała zmartwiona.

— Nie wiem czy dobrze robię chodząc z tobą na wagary — odezwała się nagle. — Chyba już więcej nie pójde. Ostatecznie nie można tak ciągle urywać się z lekcji.

— Nie mów głupstw, Nelly. A gdzież możemy spotykać się spokojnie?

— Ale w ten sposób obleję się na pewno.

— Ta sprawa chyba już została załatwiona między nami, no nie? Mnie nie dopuścili do matury, więc i ty możesz oblać do towarzystwa. Sama mówiłaś, że chcesz dzielić ze mną dolę i niedolę. No nie?

— Tak, Johnny, ale ojciec...

— Co ojciec?...

— Już nic, Johnny.

— Ciągle wyjeżdżasz z ojcem. Wiesz przecież, że wszyscy starzy wcale nie zdają sobie sprawy z tego, co to jest postęp i zupełnie nas nie rozumieją; są przerażająco zacofani.

Wyszli na pole ziemniaczane. Odgradzała je od żyta dość szeroka miedza porośnięta trawą. Gdzieniegdzie rosły na niej krzaki głogu. Janek usiadł pociągając za sobą Anielę. Dziewczyna położyła obok swój nylonowy koszyczek z książkami i zeszytami i obciągnęła sukienkę na kolanach. Skowronek ciągle trzepotał wysoko i sypał z góry cieniutką, ziarnistą strużką śpiewu. Ustał najmniejszy nawet powiew; przegrzane powietrze drgało przed oczami, na czystej jak łza kopule nieba tkwiły nieruchomo dwa puchowe obłoczki. Janek ściągnął koszulę i wystawił na słońce i tak już opalone ramiona. Aniela zmieniła pozycję: usiadła twarzą w odwrotną stronę i za plecami Janka wyciągnęła nogi podwijając sukienkę, tak ażeby opalały się uda. Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Janek obrócił głowę w prawo i zerknął na odkryte nogi Anieli. Od razu wargi jego stały się gorące i suche. Z trudem przełknął ślinę.

— Kochasz mnie? — powiedział pytająco.

— No chyba.

Siedziała z opuszczoną głową, a kiedy Janek prawym ramieniem ogarnął jej kibić, nie znalazła w sobie dość siły na opór. Owładnął nią słodki bezwład i Janek z łatwością pociągnął ją, tak że opadła na jego kolana. Wtedy pochylił się nad nią.

— Czy chcesz?... — pytał zduszonym głosem.

— Czego mam chcieć, Johnny? — Myślała, że chce ją całować i dziwiła się, że pyta o to.

— No wiesz, Nelly, no wiesz... — Pochylił się jeszcze bardziej i wtedy poczuła, że musiał pić wódkę. Zerwała się. Trzepotało w niej ostre uczucie lęku.

— Nie, Johnny, nie! — wyrzekła drżącym głosem. Siedział zachmurzony. Po ziemi czołgała się wolno długa, czerwona glista. Janek podniósł nogę, przygniótł robaka i roztarł go podeszwą buta. Aniela ze wstrętem odwróciła głowę.

— Przechodzisz na etat dewotki — powiedział ze złością nie podnosząc głowy. — To wyraźnie widać.

Nie odpowiedziała. A on dodał: — Ładnie mnie kochasz.

— Johnny — zaczęła poważnie — odkąd ponadawaliśmy sobie te amerykańskie imiona i odkąd nauczyłeś mnie tańczyć rock and roll, wymagasz ode mnie coraz więcej, i to często rzeczy niemożliwych dla mnie do wykonania. Czy na tym polega miłość?

— Nie wymądrzaj się, dewotko — burknął. Wstał i wciągnął koszulę. — Cholera, ładny dzień... — Rozejrzał się po niebie — Szkoda... — dodał i nie skończył, tak że nie było wiadomo, czego żałuje.

— Matka ciągle mnie ostrzega, tak samo ojciec — tłumaczyła szybko.

— A, do licha ze starymi. Daj już spokój.

— Nie złość się, Johnny — prosiła. — Ostatecznie oni na mnie pracują i oczekują czegoś ode mnie. Ojciec jest kowalem, ale wymarzył sobie, że mam być prawnikiem.

Janek włożył ręce do kieszeni i zaczął wiercić piętą dołek w miękkiej ziemi.

— Ojciec mówi, że na wszystko jeszcze przyjdzie czas — ciągnęła, — że teraz powinnam pilnować książek, żeby coś w życiu zdobyć i że powinnam szanować się, ażeby inni mnie szanowali. No, co ty o tym myślisz, Johnny, powiedz?

Janek milczał. Kopał teraz zaciekle dużą bryłę ziemi, aż kurzyło się z niej. Aniela podjęła:

— Chodzimy już z sobą dwa lata... — głos jej zaczął brzmieć żałosną skargą — i ja naprawdę kocham ciebie. No powiedz coś, Johnny, co ty o tym myślisz, o tym, co mówią rodzice?

Czekała z napięciem i wydało się jej, że ten chłopiec, który tak był jej miły i bliski, za chwilę podejdzie do niej i powie serdecznie: „no więc naradźmy się, Nelly, jak mamy postępować, żeby wszystko było w porządku". Zacisnęła wargi, oczami zawisła na twarzy Janka. Nie wiedziała, że jej wytężone spojrzenie powtarza w tej chwili te same uczucia, którymi od wieków wypełnia się w pewnych momentach życia serce kobiety bijące dla wybranego mężczyzny. Ale Janek odwrócił się od niej wzgardliwie i nie wyjmując rąk z kieszeni poszedł z powrotem tą samą ścieżką, którą tu przyszli, nawet zaczął wesoło pogwizdywać. Gdy był już dość daleko i tors jego nad łanem żyta rozmazywała coraz bardziej zasłona łez, Aniela zaczęła biec.

— Janku! — wołała przenikliwie. W głosie jej drgał ból. — Janku!... Johnny!... Zauważyła, jak Janek stanął nagle, znieruchomiał, a potem zawrócił i, zgięty wpół, tak, że nie było go widać nad żytem, zaczął biec z powrotem. Mijając dziewczynę syknął:

— Schyl się! Uciekaj! Ojciec!...

Lęk chwycił ją za gardło. Rzeczywiście, na wzgórku koło ogrodu poznała masywną sylwetkę ojca, który podniósł do oczu dłonie, ażeby nie raziło go słońce, i uważnie lustrował okolicę. Przez moment nie była pewna, co ma zrobić, gdyż obok strachu odezwało się w niej równocześnie jeszcze inne, osobliwe w tej sytuacji uczucie. Czyżby radość?... Trwało to jednak bardzo krótko; za chwilę, tak jak Janek, chyłkiem zaczęła uciekać.

Zatrzymali się i przywarli do ziemi, gdy już zabrakło im tchu w piersi. Dyszeli ciężko, twarze ich pałały ogniem; cienka sukienka Anieli przylgnęła do spoconych pleców. Janek zaczął powtarzać: — Ale draka... cholerna draka... — Potem wycharczał w przypływie wściekłości: — Cholera z tym twoim ojcem, zupełnie jak milicjant... — I jakby Aniela była tu coś winna, rzucił jej w twarz: — Żebyś wiedziała, że mam go gdzieś... Mam go gdzieś, cholera, rozumiesz?

Chciała w pierwszym momencie obrazić się... „Cóż on sobie myśli?" Ale nie powiedziała nic. Nadpłynęła fala złości. Czy ojciec tak zawsze będzie ją śledził i we wszystkim przeszkadzał? Cóż to — nie wolno jej nigdzie pójść bez jego wiedzy? O, nie, nie zgodzi się na to.

Janek wstał ostrożnie i patrzył w tamtą stronę. Zasłaniały ich teraz drzewa.

— Chodź, prędko! — warknął

Posłusznie pobiegła za nim. Po paru minutach zakryło ich szerokie wzniesienie terenu. Przez jego grzbiet przemknęli zgięci wpół. Na dole Janek odetchnął.

— No, może mnie teraz pocałować wiesz gdzie — powiedział ironicznie. — Pójdziemy do lasu. Jeśli oczywiście chcesz — dodał obojętnie i ruszył, a ona bez namysłu poszła znów za nim.

„A więc musiał być w szkole; dowiedział się, że mnie tam nie ma... Albo może wychowawca dał znać do domu..." Lęk walczył w niej ze złością. Złość zalewała powoli wszystko. Och, być nareszcie niezależną... Wcale nie będzie tak, jak oni chcą... Wcale tak nie będzie. Starzy, zacofani idioci... Są tylko po to, ażeby wszystkiego zabraniać, żeby na każdym kroku psuć najmniejszą nawet radość.

Nie było już w niej w tej chwili kolizji między rzeczywistością domu i szkoły, a rzeczywistością, którą stwarzał Janek i ich uczucie. Tętniła w niej zapiekła, uparta chęć przeciwstawienia się narzuconemu przez tamtych porządkowi rzeczy.

Janek szedł prędko stawiając duże kroki. Musiała od czasu do czasu podbiec, ażeby mu dorównać. Nie zwracał na to uwagi. W pewnej chwili odezwała się:

— A swoją drogą mógłbyś nie wyrażać się tak o moim ojcu. — Powiedziała to i umilkła zdziwiona, bo wcale nie miała zamiaru poruszać tego tematu. Potrzeba wypowiedzenia tego protestu powstała niezależnie od jej woli. Żerknęła na Janka. Nic nie odpowiedział, przyśpieszył tylko jeszcze bardziej kroku. Pół szła, pół biegła obok niego i jej włosy, utlenione na złocisty kolor, opadające na podobieństwo końskiego ogona na wydekoltowane plecy, rozsypywały się coraz bardziej. Złocisty ogon podskakiwał śmiesznie i łaskotał ją.

W kilka godzin później wyszli z lasu kierując się w stronę miasteczka. Janek jak zwykle trzymał ręce głęboko zanurzone w kieszeniach. Pogwizdywał beztrosko. Tym razem szli powoli, noga za nogą.

— No, dobrze, Johnny — kończyła zaczętą myśl — więc zapiszemy się do wieczorowej szkoły dla dorosłych, ale gdzie będziemy mieszkali i co będziemy jedli, nie mówiąc już o pieniądzach na kino, na ciastka, na ubranie?...

Zaśmiał się.

— Eee, co tam. Jak postawimy starych przed faktem dokonanym, to będą musieli coś dać.

Potrząsnęła głową.

— Mój ojciec na pewno nic nie da. Znam go. Zawsze mówił, że wyrzeknie się mnie, jeśli to zrobię.

— To niech nas pocałuje gdzieś. — Przystanął. — Nelly, — zaczął, patrząc na nią badawczo — powiedz, że masz go gdzieś. No, powiedz.

Udała, że nie słyszy i ciągnęła:

— No i co wtedy, Johnny. Twoi rodzice są bardzo biedni, mieszkacie w sześcioro w jednym pokoju...

— Mogłabyś wreszcie przestać — zniecierpliwił się.

— Po co myśleć o rzeczach dalekich; na razie jeszcze nikt nie wyrzuca ciebie z domu.

— Ale przecież uzgodniliśmy, że pójdziemy do urzędu stanu cywilnego.

— Oj, nie marudź, Nelly. Lepiej pomyślmy, gdzie wygodniej będzie spotkać się jutro. Chyba tutaj.

Aniela westchnęła. — Więc znów trzeba będzie urwać się z lekcji... — powiedziała niechętnie. — Och, Johnny... A ojciec zawsze mówił, że z tym wszystkim trzeba poczekać, aż skończę szkołę i studia, że jeszcze będzie tego powyżej uszu.

— Po co zaraz studia — mruknął Janek. — Cóż to, źle płacą bez studiów? Ta Mańka, wiesz, co ci mówiłem dziś rano, pracuje w sklepie i pieniędzy ma jak lodu... Po co studia... A zresztą już mam dość tego ciągłego powoływania się na twojego ojca. Już mam dość, psiakrew.

(Dokończenie na str. 8)

KAZIMIERZ EUGENIUSZ STESZUK

Jutro będzie pogoda

Jutro będzie pogoda.
Porzeczki będą miały kolor wina.
Sierpień roztopi się w dolinie słońca
jak stal w piecu hutniczym —
Pochyli się jarzębina
a wilgi będą uporczywie wołały o deszcz.

Jutro będzie pogoda —

Słoneczniki opuszczą głowy do ziemi
by wytrwać do zmierzchu.
Ropuchy schowają się w pokrzywy
płasko przylgną do ziemi w cieniu.
Drzewa zastygną w powietrzu
jak straż poczciwa.

Jutro będzie pogoda —

Wiersz rozpoczęty w dzień deszczowy, wilgotny,
zakończę
i rzucę w przestrzeń
by płonął jak słońce,
w dzień pogodny.

Nelly and Johnny

(Dokończenie ze str. 7)

Stanął i zmarszczywszy brwi gniewnie patrzył na Anielę.

— Musisz wybrać — powiedział zimno. — Albo ja, albo on. Jeśli wybierasz mnie, to natychmiast powiedz głośno i wyraźnie, że masz go gdzieś. No, mów.

Stał wyczekujący, pewny siebie, rozkraczywszy nogi. — Bo jak nie, to... żegnaj luba — dokończył.

— Tak mówisz, Johnny? Tak teraz mówisz? — W cichym głosie dziewczyny brzmiało zdziwienie i żal.

— Co się tam pieścić. Mów! Albo rozstajemy się... Nie zniosę dłużej tego wiecznego: „mój ojciec... moja matka, i znów: mój ojciec, moja matka" i tak w kółko. Jak Boga kocham, nie mogę tego dłużej znieść. Albo mąż, albo rodzice. No?... No mów! — upierał się i widać było, że naprawdę odejdzie od niej.

Opuściła głowę, łzy zapiekły ją w gardle. Myśl o rozstaniu z nim niosła za sobą tę samą rozpacz, jaką przeżyła przed laty, gdy ukradziono jej „Małgosię", najukochańszą lalkę.

Nagle zaszeleściły krzaki; niespodziewanie wypadła z nich Aza, suka kulawego Michała, który często zachodził do ojca Anieli na wieczorne gawędy. Dom jego znajdował się niedaleko stąd. Aza biegła z nosem przy ziemi i gdy zbliżyła się do nich, można było wyraźnie usłyszeć jak cichutko i żałośnie skomle.

„Pewnie wytopili jej szczenięta, jak co roku", pomyślała Aniela, „znów będzie ich szukała i latała jak kołowata". Dziewczyna patrzyła na Azę. Zwierzę miało brzuch zupełnie zapadły, pod napiętą na płowych bokach skórą widać było wszystkie żebra; biegła nędzna, lecz cała zamieniona w czujność: uosobienie troski i pilności; jej wydłużone, flakowate wymiona majtały się tuż nad ziemią. Mijając Anielę na moment zwróciła na nią oczy pełne pokory i bolesnego pytania. Dziewczyna przysięgłaby, że Aza miała w oczach łzy. Wierzchem dłoni starła resztę wilgoci z powiek i głośno pociągnęła nosem; patrzyła ciągle za suką. Janek szybko schylił się, chwycił

z ziemi kamień i z rozmachem cisnął w stronę zwierzęcia. Ale Aza zupełnie nie zareagowała na to, choć kamień prysnął tuż koło niej. Anieli aż zaparło dech w piersi.

— No, więc jak, Nelly?... — powiedział Janek strzepując piasek z palców. — No, powiedz nareszcie... głośno i wyraźnie: mam go gdzieś.

— Johnny! — zaczęła prosząco. Chciała, żeby zrozumiał... Przecież to ojciec... Zawahała się... i naraz pojęła, że to wszystko na nic. Uderzyły w nią splątane uczucia. Na policzki wystąpiła łuna. Cofnęła się, a on znów zmarszczył brwi i powiedział gniewnie:

— No, więc jak ostatecznie, Nelly?...

Gwałtownie przycisnęła ręce do piersi, nylonowa torebka z książkami uderzyła ją w brzuch. Nagle, niespodziewanie dla niej samej nawet, zaczęła tupać nogami i krzyczeć:

— Ty draniu!... Ty draniu!... Ciebie mam gdzieś... Ciebie... ciebie... ciebie...

Stefan Wolski

Czy ostatni wiersz Stanisława Ciesielczuka?

P. Zdzisław Jastrzębski w pięknym artykule o Stanisławie Ciesielczuku („Kamena" nr 139) wspomina o liście nauczycielki z Hrubieszowa, p. Zofii, do przyjaciółki w Warszawie, p. Gertrudy W. List ten jest opisem ostatnich chwil Stanisława Ciesielczuka i w bardzo dramatycznych barwach maluje obraz osamotnienia poety. Za pozwoleniem adresatki zrobiłem w roku 1945 odpis tego listu. Jest w nim następujący passus:

„Posyłam Ci ostatni wiersz Stacha. Podyktował mi go przed dwoma tygodniami, gdyż nie miał siły przepisać własnoręcznie. Wczoraj w południe umarł, pomimo bardzo troskliwej opieki lekarskiej"... List nosi datę 27 listopada 1945 roku. Załączony do listu wiersz brzmi, jak następuje:

Teologia słowicza

Oto całą moją duszę ogarnia
myśl wilgotna od żalu o słowiku natchnionym,
co szlochając w majowych męczarniach,
pełen dziwnej miłości w drapieżnika wpadł szpony.

A drapieżnik był to czarny zapewne
czart zwierzęcy z ptasiej teologii słowiczej,
pogruchotał gardziołeczko wylewne
i szlachetnej ofierze wszystkie kostki policzył.

Boże sadów i wieczystej piosenki!
W czasy wrogie słowikom, błagam, racz je ochraniać,
a umarłe weź w przeczysty swój błękit
niech nie tłuką się niemo w rozpaczliwych otchłaniach.

Pozwól siadać im na rajskich gałązkach,
oblepionych kiściami gwiazd, pachnących najbielej,
pozwól klaskać im radośnie i kląskać
i gorliwie trelować w takt anielskiej kapeli.

List P. Zofii jest świadectwem nie tylko osamotnienia poety — jest świadectwem rozmyślnego osamotnienia. „...na wiosnę, kiedy wrócił do Hrubieszowa — pisze P. Zofia — nie mógł już chodzić, tak był wyczerpany głodówką. Najbliższa jego rodzina nie wiedziała, że przyjechał i robiła mu z tego powodu wyrzuty. Ze Związkiem Literatów można się było porozumieć wcześniej, kiedy choroba nie zrobiła takich postępów w organizmie; on jednak myślał, że się poprawi samo. Robił mi wyrzuty po moim przyjeździe z Warszawy, że zrobiłam z niego żebraka i koledzy pomyślą, że ten alarm o pomoc był jego dziełem"... W słowach tych widzę całego Stanisława Ciesielczuka. Taki był zawsze.

Aleksander Maliszewski

Nałęczów

(Dokończenie ze str. 2)

lo, przypominając sobie wzajemnie usłyszane melodie i słowa. Były wśród nas naprawdę dobre głosy, np. ciepły baryton Kazimierza Brzezińskiego. Śpiewało się między innymi „Za Niemen", „Za Krakowem czarny las", „Barcarollę" z „Opowieści Hoffmana", „Przepióreczkę", „Czekaj, Hanuś, u chrustu" i wiele innych.

Wiele osób miało z sobą aparaty fotograficzne; fotografie amatorskie zaczynały się coraz bardziej rozpowszechniać.

Dżdżyste dni, czasem wieczory spędzaliśmy w domu na krytych werandach grając w pokera, nawet nie na orzechy, ale na słowo, zapalając się i licytując „nieskończoność nieskończoności" lub w sekretarza, często wierszowanego. Szkoda, że niektóre z owych prób poetyckich się nie zachowały, były naprawdę dowcipne. Celował w nich Władysław Tatarkiewicz.

Często też czytywało się na głos. Pamiętajmy, że był to okres rozkwitu Młodej Polski, a jeszcze nie zamilkły najprzedniejsze pióra starszego pokolenia: Sienkiewicz i Prus, Żeromski, Reymont, Zapolska, Daniłowski, Weyssenhoff byli u szczytu rozwoju twórczego, zabłysnął nowy talent Wacława Berenta. Nasz młodzieńczy entuzjazm skłaniał się jednak najbardziej ku poezji: Tetmajer, Kasprowicz, Wyspiański, Staff, Rydel, Maryla Wolska (D-mol), Ostrowska, Zawistowska. Ileż wrażeń, jakie pole do bezkrytycznych może często, ale jakże pobudzających myśl i serce młodzieńczych zachwytów i porywów!

Matka moja czytała nam czasem sztuki Maeterlincka lub wiersze Verlaine'a. Uczyliśmy się ich na pamięć, zwłaszcza tych „nastrojowych". „Nastrój" panował wówczas niepodzielnie.

W niedzielę urządzano w sali balowej pałacu słynne „reuniony", na których jeszcze nie bywałam, w inne dni tygodnia odbywały się tam często amatorskie przedstawienia teatralne.

Duszą tych przedstawień, inicjatorką kółka miłośników sceny, była pani Walentyna Nagórska, sama utalentowana artystka dramatyczna i recytatorka.

Za mojej pamięci wspominano z zachwytem wystawioną na scenie nałęczowskiej „Czyją winę" Sienkiewicza w następującej obsadzie: Jadwiga Karłowiecka — Walentyna Nagórska, Leon, malarz — Stefan Żeromski, nie tylko dobry aktor, ale wielki miłośnik i znawca teatru, Służący — Adam Nagórski (senior).

Stefan Żeromski był zarazem kierownikiem literackim i reżyserem nałęczowskiego teatru amatorskiego. Jego to inspiracja, a także wysoki poziom kulturalny kółka miłośników sceny, sprawiły, że nie ograniczono się do banalnych jednoaktówek, wystawianych przez teatry amatorskie, lecz sięgnięto do wielkiego repertuaru.

Grano „Dla szczęścia" Przybyszewskiego, „ Fircyka w zalotach" Zabłockiego, fragmenty „Ślubów panieńskich", fragmenty „Horsztyńskiego", później, gdy po rewolucji 1905 roku cenzura stała się nieco mniej surowa, fragmenty z „Wesela" Wyspiańskiego i „Dyktatora" Żuławskiego, reżyserowane i organizowane przez Tadeusza Ulanowskiego, na otwartej scenie w parku. Grano także fragment Wyspiańskiego „Ofelia", z dekoracjami Juliusza Nagórskiego.

Oprócz amatorów, którzy nie poświęcili się karierze scenicznej, jak: Hanna Nagórska, Adam Nagórski jr, Władysław Tatarkiewicz, Maryla Brylińska, na scenie teatru nałęczowskiego występowali artyści tej miary co Wanda Malinowska — późniejsza Juliuszowa Osterwina, Edmund Weychert, Stanisław Bryliński. Kostiumy wypożyczano z teatru w Lublinie.

Stefan Żeromski entuzjazmował się tymi ambitnymi poczynaniami, doradzał, brał udział w próbach, zapraszał cały zespół do swojej chaty lub do obszernego ogrodu willi „Oktawia", gdzie w gościnnej atmosferze, przy podwieczorku dyskutowano, „poruszano z posad ziemię".

Oprócz przedstawień amatorskich organizowano żywe obrazy, odczyty, odbył się „Wieczór Młodej Polski" z udziałem Zofii Rygier - Nałkowskiej, Wandy i Stanisławy Malinowskich, Ignacego Matuszewskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Kazimierza Wroczyńskiego, Adama Nagórskiego jra, Władysława Tatarkiewicza.

Bywały też efektowne „corsa" kwiatowe z udziałem okolicznego ziemiaństwa, w pięknie udekorowanych ekwipażach. Dochód z tych imprez przeznaczony był zawsze na jakiś cel społeczny, najczęściej na tajne nauczanie.

Od czasu do czasu wybieraliśmy się licznym towarzystwem: parę powozów, wóz drabiniasty, break zakładowy i zawsze kilka rowerów, na dalsze wycieczki do Kazimierza, Puław, Lublina, do przepięknych lasów wojciechowskich. Wycieczki te bywały bardzo interesujące, połączone ze zwiedzaniem starych kościołów, pałaców oraz innych zabytków przeszłości, a zarazem bardzo wesołe. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek deszcz pokrzyżował dość długo nieraz naprzód układane plany. Inne jakieś lata illo tempore bywały...

Komu jednak siły nie pozwalały na dalsze spacery i wycieczki, ten mógł nie wychodząc z parku nałęczowskiego dobrze spędzić czas, sycić oczy barwnymi plamami kwietników w słońcu lub dawać im wypocząć w cieniu prastarych drzew; można też było przejechać się łódką po stawie, karmić łabędzie, posłuchać muzyki, takiej jakiej się słucha w uzdrowiskach, chociaż przez parę sezonów grywał tam nawet Namysłowski, zmienić książkę w bogato zaopatrzonej czytelni, w sklepionym pomieszczeniu na parterze w pałacu, której zamiłowaną i niestrudzoną kierowniczką była panna Felicja Sulkowska, lub przejrzeć ostatnie czasopisma i dzienniki w pięknej, zabytkowej sali z tarasem, sąsiadującej z wielką salą balową, oświetloną kryształowymi pająkami, gdzie odbywały się „reuniony", koncerty i przedstawienia teatralne. Pałac Małachowskich, zbudowany pomiędzy 1760 o 1770 rokiem, opisany został przez profesora Władysława Tatarkiewicza w „Biuletynie Historii Sztuki" (rok 1956). Wspomnę tylko, że zarówno fasada, jak pełne szlachetnej prostoty wnętrza, ujmowały i koiły oczy swym dostojnym pięknem i harmonią. Boazerie, kominki, lustra w ścianie miały jakieś pokrewieństwo z wnętrzem pałacu Teppera, w którym wzrosłam, i może dzięki temu wydawały mi się tak bliskie sercu i tak swojskie.

Przed zakładem na ławkach, grzejąc się w dobroczynnym słońcu, wysiadywali najstarsi mieszkańcy Nałęczowa, weterani 1863 roku z doktorem Lasockim na czele. Siadywał zwykle z nimi Kazimierz Gliński, Henryk Wiercieński, Jan Karłowicz, autor „Słownika" (ojciec Mieczysława), pan Domaszewski, dziadek Władysława i Jana Tatarkiewiczów, którzy przyjeżdżali do niego na lato. Była to postać bardzo charakterystyczna. Niewielkiego wzrostu, siwy jak gołąb, chodził w dni słoneczne w olbrzymim, słomkowym kapeluszu, podszytym zielonym płótnem. Kapelusz ten zastępował nam barometr: gdy „dziadzio Domaszewski" (tak mówili o nim wszyscy) go nakładał, pogoda była murowana. Nieraz widywałam na tej ławce pana Berenta, seniora, który przedstawiając się lub gdy go prezentowano, dodawał zawsze — Ojciec Wacława, autora „Próchna". W grupie tej rysowała się też często głęboko wciśnięta panama i bródka w klin Stefana Żeromskiego.

W skrzydle zakładu mieściła się jedna z godnych wspomnienia instytucji nałęczowskich: sklep Herzmana. Był to chyba najlepiej zaopatrzony sklep, jaki kiedykolwiek spotkałam w uzdrowisku. Mógł zaspokoić wszystkie potrzeby człowieka na wakacjach; miał dział papeterii, galanterii, perfumerii i tak bogaty asortyment pamiątek, że można było dostać nawet pamiątki z Częstochowy, Krynicy i Zakopanego: obsadki z kości, zakończone szarotką, ze szkiełkiem w środku, w którym, zmrużywszy wiszne — można było zobaczyć Morskie Oko, i przyciski w formie szklanych kul, wewnętrz których, gdy się je poruszyło, sypały się na krajobraz górski gęste płatki śniegu. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć tego cudu techniki. W sklepie Herzmana panował charakterystyczny zapach; tak pachniały — poza nim — tylko skrzynie wędrowne Węgrów.

Za budynkiem zakładu i łazienkami borowinowymi zaczynała się nowa część parku nałęczowskiego, gdzie w przeciwieństwie do starej — królestwa drzew i krzewów liściastych — rosły wszystkie możliwe odmiany koniferów, przede wszystkim prześliczne srebrne świerki. W tej części parku biło tzw. Źródełko Miłości, które podobno miało także jakieś zalety lecznicze. Nazwę swoją zawdzięczało jednak raczej istotnie romantycznej atmosferze Nałęczowa.

Powyżej parku biegła ulica zwana Armatnią Górą, a wzdłuż niej ciągnęło się szereg willi: nowoczesna, komfortowa „Ukraina", tuż obok „Podgórze" doktorstwa Beni, gdzie podobno bywał Sienkiewicz, sąsiadujące bezpośrednio z willą „Oktawią", gdzie mieszkał Żeromski. Za willą, na wzgórzu, skąd roztacza się istotnie cudowny widok, stanęła projektowana przez Witkiewicza tzw. „Chata Żeromskiego", gdzie mieszkał przez wiele lat, a gdzie teraz przechowywane są z pietyzmem pozostałe po nim pamiątki. Chata stoi jakby u progu zalesionych wąwozów, w jednej z najbardziej malowniczych partii Nałęczowa; błądząc po nich odkrywać można coraz to nowe piękno.

Ku końcowi sierpnia i w pierwszych dniach września wraz z pierwszymi opadającymi liśćmi z Nałęczowa zaczynało co dzień ubywać trochę letników. Zgodnie z ówczesną tradycją — odwożono wyjeżdżających na kolej lub przynajmniej w chwili wsiadania do powozu żegnano bukietami kwiatów.

Jadwiga Dmochowska

Halina Ziółkowska i Lech Skolimowski

O „Seansie" na głosy

ANNA JAKUBISZYN-TATARKIEWICZOWA

Dyr. Lorenowicz w rozmowie z przedstawicielem prasy stwierdził, że recenzja powinna zawierać nie subiektywny sąd piszącego, ale „opinię ogółu". Sprawozdawca „Kameny" zapragnął spełnić ten postulat. Znakomitą okazję do tego nastręczyła premiera „Seansu". Dzięki atmosferze emanującej ze sceny sprawozdawcy naszemu udało się skonkretyzować dane mu od natury nadprzyrodzone zdolności i metodą hipnotyczno-telepatyczną odczytać myśli kilku reprezentatywnych widzów obecnych na sali. Oto one.

Widz Pryncypialny: Cóż to się dzieje na scenie państwowego teatru, subsydiowanego krwawicą chłopa i robotnika, w naszym terenie kulturalnym na szczeblu wojewódzkim, w trzynastym roku PRL-u? Czy po to szliśmy z etapu na etap, z okresu na okres, od modelu do modelu, ze zrębów na zręby, z fundamentów na fundamenty, z ramieniem przy ramieniu? Czy po to, pytam się? Co daje masowemu widzowi sztuka — nie! — kosmopolityczne sztuczydło pod perfidnym tytułem „Seans"? Czy go uczy? Czy mu pomaga w jego historycznych i chlubnych zadaniach budowy, przebudowy i nadbudowy? Czy go mobilizuje, wychowuje, ugruntowuje? Co nam z obskurantckich pomysłów jaśnie panów fideistów, którzy w dwudziestym wieku, w biały dzień, czy raczej przy świetle pary i elektryczności, nie mówiąc już o sputniku i rakiecie nośnej — karmią nas średniowiecznymi bredniami o duchach? Jakiż uświadomiony obywatel wierzy dziś w duchy? A jeśli już kolegialnie duchy, to dlaczego, pytam się, pokazują nam duchy salonowych paniuś—darmozjadów, a nie ducha pomocnicy domowej, Edyty, szukającej rewolucyjnej pomsty na panu — dręczycielu, jak to zrobił nasz wielki poeta narodowy, Sienkiewicz, w swym bohaterskim dramacie „Pan Tadeusz"? Tak to od „Zamku" do „Kochanka", od „Kochanka" do „Seansu" państwowy teatr imienia Osterwy brnie w bagno marazmu, zgnilizny, tolerancji, wegetacji, interwencji, ingerencji! Dosyć tego, obywatele, przepraszam, panowie artyści!...

Widz Nowoczesny: Że też w tej budzie nie mogą zerwać z anachroniczną sztampą. Duchy? Rekwizyt z naftaliny, przestarzały już za czasów nudnego schematysty, Szekspira. To nie to, co czytałem w ostatnim „Monologu—na—głosy"; awangardowy tragi-cyrk z języka francusko - amerykańskiego, w przekładzie uniwersalnego Boykotta. Tytuł mówi sam za siebie: „Nocniki" — samo słowo bije człowieka po głowie — „Nocniki"! Na scenie niby nic: kilkanaście nocników i jeden kubeł asenizacyjny. Jakaś postać w nieokreślonym wieku, nieokreślonej płci i ubioru błąka się po scenie i bełkocąc coś pod nosem raz po raz chwyta to ten, to ów nocnik i wylewa do kubła. Jedno i drugie, rozumie się, puste. Co za głęboka metafora, jaka urzekająca wieloznaczność, otwierająca niezliczone perspektywy interpretacji. Nic nie rozumiesz, a wszystkiego się domyślasz. Może być wizja macierzyństwa, podana w mistrzowskim skrócie i wyolbrzymiona potężną wyobraźnią autora. Może być drapieżna satyra na wiadome zebrania, gdzie także z pustego w próżne. Może być integralny pesymizm: obraz ludzkości, która zaczyna od siedzenia na nocniku, kończy na kuble, a wszystko wokoło pustką tchnie i absurdem? Takich nam dzieł, takich a nie jakieś tam socrealistyczne seanse!

Widz Szesnastolatek: Draka z duchami na medal, ale czemu giry po pachy pokazuje ciotunia w podomku z Pe-de-te, a nie wdechowa lala w ślubnych ciuchach z Komisu na Krakowskim?!...

Widz Tradycjonalista: Przykre to, że w naszym zbożnym ciemnogrodzie, cudami słynącym, w tym uroczystym jesienno-zimowym okresie, miast „Jasełek" czy bodaj „Pastorałki" (choć z tego Schillera pono wolnomyślnik był paskudny...) na scenie teatru, na który i my nasz grosz wdowi łożym, pokazują bezbożne praktyki, zakazane przez Kościół Święty, Matkę Naszą, poufalenie się z siłami nieczystymi, z którymi jeno doświadczonym egzorcystom zadawać się godzi? „Przestańcie, chłopcy, bo źle się bawicie", jako powiadał Jego Ekscelencja ksiądz biskup warmiński.

Widz Szary: Dobrze sobie mieszkają w tej kapitalistycznej Anglii: jeden pokój do jedzenia, drugi pokój do picia, z tyłu najpewniej kuchnia, a może i co jeszcze, na górze co najmniej jeden pokój. Lekko licząc — trzy pokoje z przyległościami i komfortem na dwie osoby... Ale com się uśmiał tom się uśmiał!

Recenzent — Zoil: Źle się dzieje w naszym miejscowym przybytku Melpomeny. Linia repertuarowa, miast ulatać na skrzydłach poezji i w roku Wyspiańskiego teatr wznosić ogromny, schodzi na manowce oportunistyczno-masowych „Kochanków" i „Seansów". Nie tędy droga, piękne panie i zacni panowie. Teatr to misja, posłannictwo, służba społeczna — a nie polowanie z nagonką, czyli raczej polowanie — na—ogonki do kasy. Jeden teatr na 130.000 mieszkańców z zapleczem — to obowiązuje: tu każda pozycja musi mieć swoje głębokie uzasadnienie, swoją wagę ideową i artystyczną; a jakież uzasadnienie „Seansu"? Sztuczka błaha i płytka, cóż da widzowi prócz kilku chwil pustego śmiechu; a i śmiech można by bez trudu znaleźć w lepszym wydaniu. A ten pierwszy akt przydługi, bez nerwu, bez dowcipu — czyżby w naszym mieście oprócz wielu innych rzeczy — ołówka dostać nie można, że go zabrakło reżyserowi? A te gierki, fikania i mrugania „pod publiczkę"? A to tłumaczenie, które każe towarzystwu w salonie mówić sobie po nazwisku, co praktykuje się w Anglii, ale na pewno nie w Polsce? Niech sobie mówią, żem przekora i zrzęda, ale nie nabrać starego wróbla na plewy.

Recenzent — Optymista: No, nareszcie teatr zaczyna wychodzić z impasu, co prawda jeszcze nie artystycznego, ale na pewno — kasowego, a to przecież warunek dalszych, ambitniejszych poczynań. „Seans" to nie arcydzieło, nie rewelacja artystyczna ani intelektualna, ale dobrze zrobiona sztuka rozrywkowa, pomysłowa, dowcipna, z odrobiną pieprzu, nie za mało, nie za wiele, nie wulgarna, słowem rzecz wcale nie taka znów tania; najlepszy dowód, jak niewiele mamy analogicznych pozycji w naszym rodzimym repertuarze, i to nie tylko w tym z „minionego okresu". Widz nie stanie się po niej ani lepszy, ani mądrzejszy, ale uśmieje się szczerze, a taka chwila wytchnienia też coś warta. „Keep smiling", jak mówią Anglicy, co się tłumaczy po naszemu: śmiech to zdrowie. Szczęśliwie odzyskana dla sceny lubelskiej p. Modrzewska zapewne nieraz jeszcze będzie miała okazję zaprezentować swój „pazur lwicy" w repertuarze wyższego lotu; tym razem dała kawał dobrej reżyserskiej roboty, prowadząc komedię może trochę w kierunku farsy, ale za to wydobywając doskonale cały komizm tych salonowo-spirytystycznych perypetii. Niespodzianką była p. Ossowska w roli charakterystycznej; nie bawiąc się w nadmierne finezje, bo i nie było powodu, artystka nakreśliła postać Pani Arcati śmiało, soczyście, zamaszyście, z temperamentem i nieodpartą siłą komiczną; publiczność wdzięcznie ocenia tę metamorfozę doskonałej tragiczki. Prawdziwą rewelacją okazała się Halina Ziółkowska jako duch Elwiry — wprost świetna w ruchu, lekka, zgrabna, lotna, dosłowne fruwała po scenie; dobrze też udało jej się trafić w ton psychiczny rozkapryszonego „kociaka". Małżonkowie Drzewiecka — Skolimowski, trochę sztywni w pierwszym akcie, potem rozegrali się, dając zwłaszcza koncert małżeńskiej sprzeczki. Pozostałe panie — Jaroszyńska i Skwara — nie miały większego pola do popisu; Balcerzak trafnie podchwycił profesjonalny styl powierzonej mu postaci lekarza. Scenograf nie specjalnie wysilił się na wnętrze, dość banalne i jak na mój gust zbyt naturalistyczne; za to stroje ładne i zabawne (suknia medium). *)

Słowem: *Mein Liebchen, was willst Du noch mehr!*

*) Państwowy Teatr im. Osterwy w Lublinie, Noel Coward: „Seans", komedia w trzech aktach; przekład Z. Meissner i I. Babel; reżyseria: Zofia Modrzewska; scenografia: Jerzy Torończyk.

O podwyższeniu słopy ...muzyki

ZBIGNIEW WIELICKI

Niektórzy sądzą, że wystrczy sama obecność ich uszu i nie czynią żadnych wysiłków w kierunku zrozumienia muzyki. Słuchanie zaś jest aktywną pracą, podczas gdy samo słyszenie nie jest żadną zasługą. Kaczka też słyszy.

Igor Strawiński

JEDNO WSPOMNIENIE
I KILKA WYJAŚNIEŃ

Jakieś dwadzieścia lat temu byłem na dość wyjątkowym koncercie w Filharmonii Warszawskiej. Po raz pierwszy (i ostatni) zasiadły na estradzie razem i zgodnie dwie orkiestry symfoniczne: Polskiego Radia i Filharmonii. Ten zespół złożony z przeszło 120 muzyków prowadził Grzegorz Fitelberg. Słuchaczy wielu nie było. Nic dziwnego: zabrakło solisty. Na zakończenie koncertu wykonano nieznane w Polsce dzieło — Symfonię bodajże VI Mahlera. Zawiodły i oklaski. Stojąc na prawym balkonie I piętra wybiegającym nad orkiestrę, nie żałowałem braw. Dziwnie brzmiały moje pojedyncze choć zajadłe oklaski. Orkiestra poczuła się zaskoczona, dyrygent z konsternacją podniósł ku mnie oczy. Publiczność opuszczająca salę pozostała niewzruszona. Pragnąłem wykazać orkiestrze i jej kierownikowi, że jestem im wdzięczny, i to nie tyle za Mahlera, ile za ich piękny a bezinteresowny wysiłek, wysiłek i fizyczny (symfonia ta trwa przeszło godzinę).

Myślę, że takie stanowisko upoważnia mnie częściowo do zabrania głosu na temat rozpoczętego we wrześniu w Lublinie nowego sezonu koncertowego naszej Filharmonii. Czynię to również na zaproszenie redakcji „Kameny". Ponieważ jednak nie roszczę sobie najmniejszych nawet pretensyj do miana krytyka muzycznego, więc nie będzie tu mowy (nawet drętwej) ani o utworach wykonanych, w sensie ich analizy, ani też o ich interpretacji. Jednakże jako wieloletni słuchacz, który chciałby pochwalić się, iż był świadkiem prawykonań dzieł Szymanowskiego (II Koncert skrzypcowy, IV Symfonia, muzyka do „Harnasiów") oraz uczestnikiem popisu absolwentów Kisielewskiego, Lutosławskiego i Panufnika, myślę, że głos mój w sprawach programowych nie będzie od rzeczy.

TOMASZ MANN,
KAROL SZYMANOWSKI I... JA(!)

Zgadzam się tylko częściowo z panem Settembrinim z „Czarodziejskiej góry" Manna. Zgadzam się, że „...muzyka jest nieoceniona jako środek budzenia zachwytu, jako moc porywająca wzwyż i naprzód, jeżeli umysł jest na jej działanie odpowiednio przygotowany...". Jednakże ośmielam się nie zgadzać z Szymanowskim uważającym, iż „...spontaniczne wybuchy genialnych jednostek zgasłyby jak płomień w bezpowietrznej przestrzeni, gdyby nie znalazły istotnego oddźwięku w głębokim zrozumieniu i umiłowaniu sztuki wśród najszerszych warstw ludności...". Szymanowski mylił się. On sam jest przykładem: nie zgasł i nie znalazł.

Karol Stromenger, jeden z najstarszych i najpoważniejszych naszych krytyków, opowiadał o zdaniu pewnego kierownika działu muzycznego radiofonii francuskiej na temat życzeń programowych radiosłuchaczy. Francuz uważał, że jeśli by słuchacze mieli układać program, to byłaby to wielka klęska dla muzyki.

Vox populi w sprawach sztuki? Nie przesadzajmy wreszcie. Jeśli niezbyt liczono się ze słusznymi żądaniami opinii publicznej w kwestii zwalczania alkoholizmu, to dlaczego miano by zgłębiać niesłuszne głosy ludu w sprawach muzyki? Chyba, że ktoś chce wyciągać wnioski z obecności tłumu ludzkiego przed sklepem z płytami kilka dni temu w Lublinie. Podobno byli ranni... Czyżby chodziło o zdobycie (z miłości ku sztuce) jednego z najwdzięczniejszych szlagierów narodowych, może

(Dokończenie na str. 10)

O podwyższeniu stopy ...muzyki

(Dokończenie ze str. 9)

marsza żałobnego Szopena (właśnie: Szopena), może „ZMP pomaga wsi"?

Nie przesadzajmy wreszcie.

„EXPRESSONDA" FILHARMONII LUBELSKIEJ CZYLI JA SIĘ NA TO NIE ZGADZAM

Czas dotrzeć do budynku przy ulicy Osterwy. Właśnie — Filharmonia. To obowiązuje. Wprawdzie może być muzyka pisana na dużą albo też małą orkiestrę symfoniczną, ale nie spotkałem określenia duża lub mała filharmonia. Tylko — Filharmonia. Ona to winna przede wszystkim kultywować muzykę wielkich form, głównie — muzykę symfoniczną. I tak jest na całym świecie. Tak powinno być i w Lublinie.

Orkiestra nasza istnieje już przeszło dziesięć lat. W ciągu tego czasu można było zrobić wiele. Że tak się nie stało, nie jest to winą tylko naszych muzyków, myślę, że najmniej może w tym ich właśnie winy. Nie mówmy o tym (choć po prawdzie nigdy się o tym publicznie nie mówiło), bo rzecz w tym, aby było lepiej. Nie sądzę jednak, żeby obecnej dyrekcji i kierownictwu Filharmonii mogły pomóc jakiekolwiek ankiety.

W listopadzie mieliśmy ciekawy koncert (piszę tylko — ciekawy; ciekawa może być czasem i nuda...). Wykonano montaż (!) muzyczno - poetycki: II Suitę z „Romea i Julii" Prokofiewa, przeplatając ją (!) słowem Szekspira, oraz Symfonię X Szostakowicza. Niezależnie od otwartej dyskusji po koncercie rozprowadzono wśród słuchaczy druczek ankietowy. Odpowiedzi na pytania zawarte w ankiecie nie mogą wytyczyć linii repertuarowej żadnej filharmonii. Nawet dyrekcje cyrków nie mogłyby uwzględnić wszystkich życzeń widzów, a słuchanie muzyki gdyby miało być tylko rozrywką, nie jest i nie będzie rozrywką masową. Po co nam złudzenia? Na przykład, w czasie dyskusji, wypowiedziano się raczej przeciwko zestawianiu na koncertach symfonicznych słowa z muzyką. Wysunąłem wtedy przypuszczenie, że prawdopodobnie ci, którzy po koncercie opuścili salę i nie uczestniczyli w dyskusji, wypowiedzieliby się za kontynuowaniem takich zestawień. No to co z tego? Albo Filharmonia zapytuje, czy podobała mi się Symfonia X Szostakowicza. — Nie, nudna, najbardziej podoba mi się jego I Symfonia, a zamiast Szostakowicza wolę usłyszeć Honeggera, a zamiast II Suity z „Romea" Prokofiewa wolę II Suitę z „Daphnisa i Chloe" Ravela.

Najbardziej niewłaściwym pytaniem ankiety wydaje mi się następujące: Czy uważam muzykę dziś usłyszaną za przystępną, czy też trudną do zrozumienia? — Padały opery Mozarta, symfonie Beethovena, ciągle jeszcze Brahms jest „ciężki". To też była muzyka trudna i do twórców jej miano pretensje. Krytycy też mieli. A i Szymanowski niesłodkie miał życie. Ale cóż z tego? Cóż z tego, że wielu z nas słyszy jak kaczka? Artur Rodziński nie objął dyrekcji Filharmonii Nowojorskiej, bo nie chciał, aby narzucano mu repertuar. A zgodził się na to nawet (przed nim) Toscanini. A teraz chyba ulegać będzie Mitropoulos (dla smakoszy: Mitropoulos był w Warszawie niegdyś, grano III Koncert fortepianowy Prokofiewa z dyrygentem przy fortepianie!).

KONCERTY SYMFONICZNE CZY „MODLITWA DZIEWICY"?

Już od trzech miesięcy trwa sezon koncertowy w lubelskiej Filharmonii. Nie licząc powtórzeń od dnia 22 listopada odbyło się 13 koncertów publicznych. W tym były 3 recitale śpiewacze, 1 występ chóru „Echo". Na 9 koncertów z udziałem orkiestry aż cztery razy występowali śpiewacy, jeden koncert wypełniła sama orkiestra (nie liczę recytatorów). Nie będę wspominał o śpiewakach w repertuarze operowym. A oto program, z którym wystąpili pozostali soliści.

Szymonowicz grał koncert fortepianowy d Mozarta, a choć istnieją i inne jego koncerty fortepianowe, to i tak dobrze, bo można było zażądać Chopina. Palulis grał (wszędzie to robi) koncert skrzypcowy d Czajkowskiego. I tak nieźle, bo choć gra zdaje się i Bartoka, to można było w Lublinie zażądać Wieniawskiego. Dumitru grał własny koncert na tubę z orkiestrą. Nie byłem na tym koncercie, ale słyszałem już Castelnuovo-Tedesco koncert na gitarę z orkiestrą, Milkauda koncert na harmonijkę ustną z orkiestrą, słyszałem koncert na instrument elektronowy z orkiestrą, nawet na kontrabas, ale tubę można sobie było darować, nawet tubę rumuńską. Gracz wykonał koncert skrzypcowy g Brucha.

Otóż sprawa solistów. Tego często nie mogę zrozumieć. A z narodową obsesją chopinowską pogodzić się nie mogę. Smutne tego konsekwencje dają się zresztą już odczuć wśród pianistów. Dlaczego Żmudziński nie grał u nas Brahmsa albo „Nocy w ogrodach Hiszpanii" de Falli? Dlaczego Kędra nie grał u nas koncertu na lewą rękę Ravela (ale grał Paciorkiewicza, bo dbamy o muzykę polską)? Dlaczego Smendzianka nie grała u nas Etiud symfonicznych Malawskiego (bo nie dbamy o muzykę polską) albo „Charakterów" Hindemitha? Dlaczego Umińska nie grała u nas koncertów skrzypcowych Szymanowskiego albo... Schumanna? Mógłbym jeszcze długo, ale nie trzeba. Wymienieni przykładowo artyści istotnie grają te utwory. A więc sprawa solistów pod rozwagę naszej Filharmonii.

Z muzyki symfonicznej orkiestrowej warto wymienić wykonanie „Oświecimów" Karłowicza (zamiast notorycznej Rapsodii litewskiej), Beethovena Symfonii VII i VI, Brahmsa Symfonii IV (a nigdy jeszcze III), Czajkowskiego Symfonii VI i Szostakowicza Symfonii X. Niewątpliwym postępem jest wykonywanie dzieł muzyki współczesnej, ale jak na złość wybiera się stosunkowo słabsze utwory (w tym sezonie Bartok, Strawiński, Prokofiew w kompozycjach nie reprezentatywnych dla nich). Bardzo źle jest natomiast z polską muzyką współczesną, w Lublinie praktycznie nie poznaliśmy jej prawie zupełnie.

CODA

Są jednak widoki na to, że będzie lepiej. Nie dlatego, że znaleziono system programowy. Żaden system nie istnieje. Żadne kształcenie typu szczecińskiego nie pomoże: w tym roku klasycy, później romantycy, albo na odwrót. Przecież już tak próbowano i tak można przez sto lat jeszcze da capo al fine. Program musi być jakoś wyważony, pamiętać trzeba jednak o tym, że nie ma muzyki lekkiej i poważnej, jest tylko muzyka zła i muzyka dobra. Która zaś jest ta dobra, to o tym winna decydować sama Filharmonia. Chociaż nikt nas zapewnić nie może, że ci, którzy o tym decydują, muszą mieć tzw. dobry smak artystyczny. Czasem i nie mają i dyplom tego im zapewnić nie może.

Filharmonia zapowiada Magnificat bachowski, „Stworzenie świata" Haydna, wznowienie Requiem Mozarta i IX Symfonię Beethovena. Chyba więc będzie lepiej. Chyba będzie też pełniej na sali koncertowej, niech pomyśli o tym kilkanaście wyższych uczelni lubelskich.

Zbigniew Wielicki

JANINA STASIAK

Wystawa w Klubie

Dnia 30.XI. otwarto w Klubie ZZ Pracowników Książki, Prasy i Radia wystawę Ewy Jaroszyńskiej i Mirosława Komendeckiego. „Wydarzenie" przeszło bez echa. Zaproszonych gości pytano przeważnie u wejścia, czy posiadają bilety na mające się za godzinę rozpocząć „Andrzejki", a ci, którzy chcieli porozmawiać z wystawiającymi, nie zastali ich w Klubie, gdyż Jaroszyńska od wakacji nie mieszka w Lublinie i nie przyjechała na otwarcie wystawy, a Komendecki nosił właśnie krzesła na salę CBWA, gdzie następnego dnia miało się odbyć zebranie organizacyjne Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Całe szczęście, że wartość wystawy nie polega na organizacji otwarcia, przecinaniu wstęgi i przemówieniach.

Jaroszyńska — grafika i Komendecki — olej, jak głosi afisz u wejścia do Klubu, pokazali dwa zupełnie odrębne spojrzenia na świat dwóch różnych indywidualności twórczych.

Abstrakcyjne prace graficzne Ewy Jaroszyńskiej zwracają uwagę dużą kulturą wykonania. Przeważnie czarno-białe monotypie nabierają życia i miękkości dzięki delikatnym przejściom odcieni od bieli, poprzez różne natężenia szarości, aż do czerni. Układy kompozycyjne nie są jakąś odkrywczą rewelacją, wykazują jednak pewność ręki i duże możliwości rozwoju bardzo zresztą młodziutkiej i zdolnej autorki.

Komendecki, jak zaznaczyłam już poprzednio, przedstawia widzom zupełnie inną wizję świata. Ostatnie jego osiągnięcia najbardziej chyba zbliżają się do surrealizmu i to w jego obecnej, przekształconej formie, bardzo niewiele mającej wspólnego z rozpoczynającym ten kierunek manifestem André Bretona. U dzisiejszych wielkich nadrealistów, jak Chirico czy Salwator Dali, nie ma mowy o jakiejkolwiek przypadkowości czy też automatyzmie. Elementy dobierane są świadomie, podporządkowane takiej, a nie innej myśli autora, stwarzają taki, a nie inny nastrój.

U Komendeckiego nie widać konkretnych związków z wymienionymi i niewymienionymi wielkimi surrealistami. Wspólny może być nastrój niesamowitości czy nawet grozy, właściwy wszystkim niemal obrazom tego kierunku. Wartości plastyczne zupełnie dobrze zgadzają się w nich z literacką niemal treścią.

Z Salwatorem Dali łączy chyba Komendeckiego najbardziej zamiłowanie do oryginalnych i szokujących tytułów; np. fantastyczny pejzaż nazywa „Pająkiem", chociaż sam pająk jest ledwie widocznym na obrazie punkcikiem, a kompozycje abstrakcyjne z barwnymi formami na ciemnym tle tytułuje „Koegzystencją".

Omawiając wystawę trudno nie wspomnieć o reprodukowanym obrazie „Bunt peryskopów", w którym Komendecki stworzył niesamowity układ kompozycyjny przy ciekawych zestawieniach barwnych. Na szczególną uwagę zasługuje także typowo nadrealistyczna „Strefa plotki" — bardzo interesująca kolorystycznie.

Najsłabszą chyba wystawioną obecnie pracą jest „Kompozycja złośliwa".

Komendeckiemu na pewno sprawia zaszczyt zestawienie z najbardziej znanymi na polu surrealizmu nazwiskami. Jest rzeczą jasną, że w tej chwili, mimo jego wybitnych zdolności, nie może być mowy o porównaniach. Należy podkreślić, że, jak już zaznaczyłam, nie naśladuje żadnego z wielkich, lecz trzyma się własnej drogi twórczej i dochodzi do ciekawych rezultatów. Interesujące są próby łączenia kompozycji abstrakcyjnych z elementami nadrealizmu. Za przykład może tu posłużyć „Kompozycja z jajkiem sadzonym i mizerią". Ta „abstrakcja po wiedeńsku", to w pewnym sensie dowcip autora, kompozycja ma jednak poza dozą humoru dużą wartość dekoracyjną.

Chociaż wystawy nie reklamowano w prasie i obeszło się bez oficjalnego i szumnego otwarcia, prace dwojga przedstawicieli grupy „Zamek" na pewno warto obejrzeć.

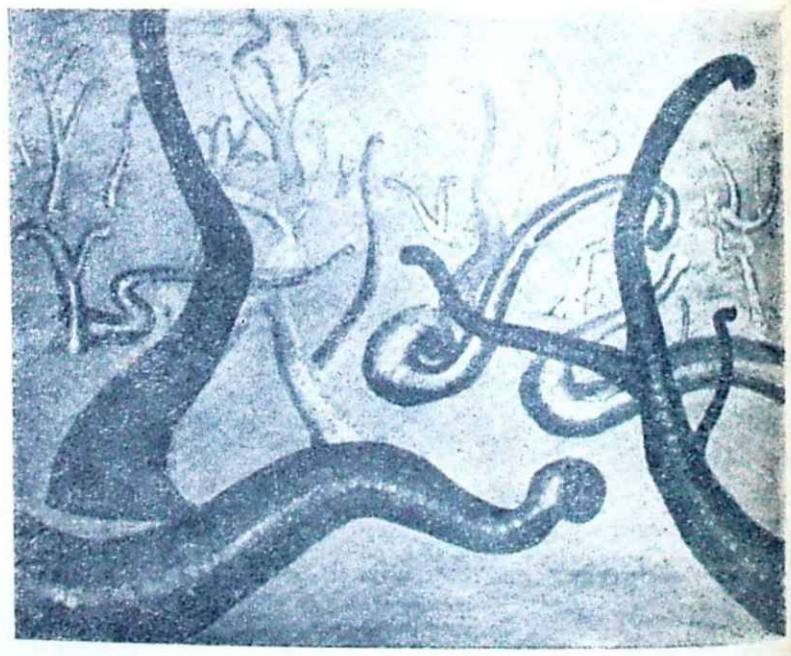

Mirosław Komendecki: „Bunt peryskopów"

PIĘKNA INICJATYWA

„Potrzebny jest wysiłek całego społeczeństwa zmierzający do upowszechnienia sztuki, do stałego urządzania licznych i wartościowych pokazów z dziedziny malarstwa polskiego. Jest ono wciąż jeszcze dziedziną niedocenioną należycie nawet w kulturalnych ośrodkach naszego społeczeństwa. W Lublinie np. brak wystaw poważniejszych, zwłaszcza retrospektywnych i nowoczesnych, które stale oglądamy w Warszawie, Krakowie lub Poznaniu. Brak też właściwej organizacji wystawiennictwa na odcinku sztuki i brak wykwalifikowanych przewodników po wystawach, bez których trudno w ogóle pokazy plastyczne upowszechniać" — oto fragment przemówienia Wiktora Ziółkowskiego, który na organizacyjnym zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Lublinie (odbytym w dniu 1 grudnia br. w Sali CBWA przy ul. Narutowicza 4) zapoznał zebranych z celami i charakterem organizowanego Towarzystwa.

W zebraniu wzięło udział około 200 osób — przedstawicieli instytucji kulturalnych Lublina i tych wszystkich, którym sprawy plastyki lubelskiej nie są obojętne. Zagaił kierownik Wydziału Kultury WRN mgr Franciszek Stoczkowski — przewodniczył zebraniu mec. Jan Dołowski.

Głównym punktem programu zebrania było odczytanie projektu statutu i przedyskutowanie go. Po ożywionej polemice projekt zatwierdzono przeważającą ilością głosów. W ten sposób — przytaczając słowa przewodniczącego — kamień węgielny pod budowę Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Lublinie został położony. Pięknej inicjatywie należy tylko przyklasnąć i oczekiwać rychłych owoców działalności nowej placówki kulturalnej w naszym mieście.

z

Źródło Aretuzy

LUCJAN KORZENIOWSKI

Trudno w bijącym źródle odczytać wzór twarzy
(drgająca tafla łamie cień twego oblicza),
myśl napiętą w źrenicach błędny wir zamazał,
tak życie ludzkie miesza się ze źródła życiem.

Tylko jeden przechodzień nie oparł się chęci
aby wysłuchać źródła. Pochylony nisko
przyłożył ucho, myślał i kreślił w pamięci.

Krople za kroplą biły w uśpione klawisze...
z drgających linii nowy rysują się kształty,
srebrna nitka trącona w zamyśleniu palcem
wije się cichym tonem od kłębka Ariadny
przez gaje, w których nikt z dawna nie mieszka
i tylko obraz dźwięku jest w nich śladem życia,
a odgłos kroków znika na granicy ciszy.

Gorąco biło serce obcego przechodnia,
który kreślił na kartkach tony swoich myśli.
Chłodne krople spadały w źródlaną symfonię...

WITOLD ZECHENTER

BALLADA LITERACKA

Wstęp

Był sobie jeden pisarz
i ani pies o nim nie słyszał —
zwał się Oktawian Krupka.
Był sobie drugi pisarz
i ani pies o nim nie słyszał —
zwał się Jan Wojciech Prupka.
Był sobie trzeci pisarz
i ani pies o nim nie słyszał —
zwał się Klementyn Tópka.
Było tych trzech pisarzy,
bez laurów i bez gaży,
bo bez talentów grupka.

Rzecz właściwa

Raz Krupka rzekł do Tópki
tak w obecności Prupki:
„Kolego Tópko, napisz artykuł,
iem jest genialny, do „Głosu Smyków",
ja zaś w rewanżu, żeś ty genialny,
napiszę w „Zrębie". Wzajem się chwalmy!
Ty, Prupko, w „Dziś" pisz w pochwał [ozdóbkach,
że są genialni Krupka i Tópka.
Za to ja w „Zrębie", a Tópka w „Głosie"
pisać będziemy w szczerym patosie,
że jest genialny Jan Wojciech Prupka!"
W lot taki układ zawarła grupka.

Przeminął kwartał. W każdym numerze
„Zrębu" wyznaje ob. Krupka szczerze,
że dwu geniuszy ludowa, śliczna
gołubi Polska demokratyczna:
są nimi Prupka i Tópka.
A w „Głosie Smyków" w każdym numerze
wyznaje znowu ob. Tópka szczerze,
że dwu geniuszy orze na niwie
literatury wielce szczęśliwie:
są nimi Krupka i Prupka.
Tudzież w „Dziś" (wiemy, [jaka przyczyna)
w każdym numerze to przypomina
ob. Prupka, że dwaj wzrośli geniusze
w rewolucyjnych dni zawierusze:
są nimi Tópka i Krupka.

A po pół roku jak Polska długa
tylko się pisze o ich zasługach,
dzieła ich wielkie tłoczą spółdzielnie
i prasa geniusz ich głosi dzielnie,
w radio na każdej spotkasz ich fali,
„Nowa Kultura" nawet ich chwali —
są bez powodu, nie bez zachodu,
dzisiaj na ustach Narodu!

Zakończenie

Jest w Polsce jeden pisarz
i każdy wie o nim dzisiaj —
zwie się Oktawian Krupka.
Jest w Polsce drugi pisarz
i każdy wie o nim dzisiaj —
zwie się Jan Wojciech Prupka.
Jest w Polsce trzeci pisarz
i każdy wie o nim dzisiaj —
zwie się Klementyn Tópka.
Jest w Polsce tych trzech pisarzy
z mnóstwem zaszczytów i gaży
i bez talentów grupka...

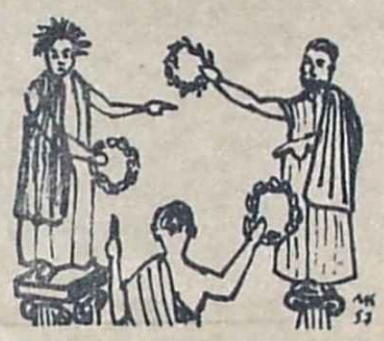

Opowiadanie bez sensu

JANUSZ DANIELAK

WSZYSTKIEMU winien Baltazar. Zaprosił mnie na imieniny. Włożyłem nawet czystą koszulę.

Lubię te miejskie wieczory. Dużo ludzi. Szeroko śmieją się gębą, a przecież wiem, że tak zwane dusze skomlą im żałośnie. Ja zaś niosę przez ulicę twarz poważną, ba, nawet zatroskaną, ale tak zwana dusza nieznośnie mi chichocze. Już taki jestem psycholog.

Kiedy jestem w dobrym nastroju, wydaje mi się, że trotuar pochyla się w kierunku, w którym idę, i wtedy nie tyle idę, co schodzę. Macham rękami i niekiedy zdarza się, że strącam przechodniom kapelusze. Odkłaniam im się grzecznie i schodzę dalej.

Drzwi otworzyła mi ciocia Baltazara. Ma twarz jak szwajcarski ser i uśmiech meduzy. Ucałowałem ją z szacunkiem w nos. Doprawdy, to nie taka prosta sprawa pocałować kogoś z szacunkiem w nos, ale byłem w doskonałym nastroju i wszystko mi się udawało.

Najpierw podano babkę.

— Doskonała jest ta prababka — powiedziałem.

Ciocia Baltazara przyniosła mi drugą porcję. W jej oczach grzęźnie się jak w smole, chociaż są tylko zielone.

Weszli nowi goście. Basia, która ma twarz tak małą, że doprawdy trudno zrozumieć, jak może się na niej zmieścić tyle piegów. Andrzej, który ma zeza i wierzy w Boga, żeby móc mieć do kogoś o tego zeza pretensję. Wilhelm, wielki intelektualista, któremu jednak ostatnio w wojsku skrócono indywidualizm do rozmiarów W.C. Przyszła też Lila, która zawsze wszędzie przychodzi.

— Dzień dobry — powiedziałem.

— Dzień dobry — odrzekli i rzucili się na babkę. Ponieważ była to babka syntetyczna, zadzwoniłem do milicji. Przyjechali strażacy i zgasili ogień pod kuchnią. Mimo to jednak krupnik podobno wykipiał i podano podłe wino. Zatańczyliśmy i potem znów podano podłe wino. Potem znów podano podłe wino. I potem znów.

— Nie mogę się upadlać — powiedziałem wyniośle i wyniosłem się do łazienki.

Kiedy wróciłem do salonu, Andrzej siedział na stole i obliczał piegi Basi. Wilhelm zlizywał z podłogi okruchy prababki.

— Bo on taki skrupulat — powiedziała Lila.

Ciocia Baltazara usiadła obok mnie na kanapce.

— Dlaczego ciocia faluje? — zapytałem. Falowanie cioci pozbawiało mnie autorytetu.

Przysunęła się bliżej, zagrażając mojej świeżo odzyskanej w łazience równowadze. Odsunąłem się. Przysunęła się i spadłem z kanapki. Kanapka była też syntetyczna, więc spróbowałem ją ugryźć. Ciocia pisnęła. Poczułem, że odzyskuję autorytet.

— Sto czterdzieści siedem — wykrzyknął radośnie Andrzej.

Zgłosiliśmy zastrzeżenia i to trwało przez godzinę. Komisyjnie stwierdzono dwieście dziewięćdziesiąt cztery i jeden malutki. Problem został wyczerpany i Lila powiedziała, że ma chandrę. Zaraz wszyscy na wyścigi zaczęli mieć chandrę, Lila była bardzo zadowolona. Wciąż mówiła, że ona pierwsza. Potem przekonałem Andrzeja, że ma zeza także w drugim oku, co bardzo podważyło jego monoteizm.

— Ale masz głębokie oczy — powiedziała Basia i Andrzej stał się ateistą.

— Masz piękną cerę między piegami — odrzekł i Basia uwierzyła.

Wilhelm z przyzwyczajenia zamknął się w klozecie. Przez drzwi rozpocząłem z nim dyskusję o samotności, ale okazało się, że jednak zamknął się tam z Lilą. Wobec tego zakwestionowałem jego indywidualizm. Powiedział, że w miłości jesteśmy zawsze samotni. Ciocia Baltazara zaprotestowała i przybiegła do mnie na jednej nodze. Zdecydowanie wybaczała.

— Proszę mi nie wybaczać — poprosiłem.

Wybaczała jednak bezkompromisowo.

Ciocia wybaczała, Basia wierzyła, a Wilhelm pozostawał samotny. Zgubiliśmy się wszyscy w tych wielkich sprawach przebaczenia, wiary i samotności.

— Ale gdzie jest właściwie Baltazar? — zapytałem.

Baltazara w ogóle nie było.

WIERSZE MŁODYCH

DIONIZY MALISZEWSKI

Elegia

Ojcze — —
gdzie twój grób?

w ogromie nieba
go nie znajdę

on — —
nad Oświęcimiem

nad —
wysokością kominów

nad
wysokością wież
dymiących śmiercią

więc tylko
w pamięć ludzkich serc

jak — —
ziemi garść na trumnę
rzucam ci
ten
wiersz

BOHDAN A. JANISZEWSKI

Fontanna

Zielony chłopczyk lśniąc
aksamitem ciała
w mokrych rączkach
trzyma cementową rybę.
Są mokrzy od tryskającej wody
zwisającej w strączkach
z rozwartego na zawsze
pyszczka ryby.
Czas zatrzymał się w pozie
w jakiej ich rzeźbiarz scementcił.
To jest piękne: żyją w wodzie
której nic nie mąci.

BERNARD SZTAJNERT

Szczęście

Każdego rana pies mnie wierny budzi,
Kulą się toczy po sennej pościeli
I przekrzykując niepotrzebny budzik,
Dzień zaczynamy oboje weseli.

Znamy sekrety podłogi i zlewu.
Długo przed nami snuły swą opowieść:
Jękliwe wiadro, rura pełna śpiewu,
Szczotka milcząca i zamknięta w sobie.

Pełni mądrości radosnej i wiary,
Niekiedy smutni, gdy z domu
wychodzę,
Wiemy, że szczęście to pantofel stary,
Który ciągniemy każdy w inną stronę.

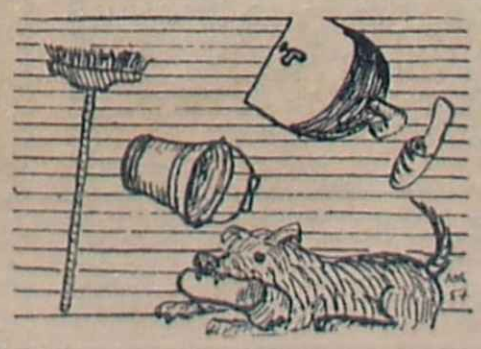

O czym pisała „Kamena"

przed 20 laty

Podwójny 40-stronicowy numer „Kameny" za listopad — grudzień 1937 r. poświęcony był w całości nowej poezji francuskiej.

Wystąpili w nim poeci: Lautréamont, Apollinaire, Salmon, Jacob, Cocteau, Revérdy, Fargue, Supervielle, Tzara, Jouve, Gide, Soupault, Desnos, Breton, Eluard, Arp, Péret, Hugnet, Marc, Le Louët, Follain, Lannes, Lacôte, Frayssc i Manoll w przekładach Bieńkowskiego, Brzękowskiego, K. A. Jaworskiego, Napierskiego, Przybosia, Rogozińskiego i Ważyka.

Numer zdobiły odbitki reprodukcyj obrazów: Braque, Dufy, Léger, Matisse, Miro i Picasso.

Na marginesie odpowiedzi redakcji

„Kamena" jest jedynym z periodyków literackich, który udziela w specjalnej rubryce odpowiedzi na liczne propozycje autorów nadsyłających nam materiały ze wszystkich województw. Przed wojną praktykowało to wiele pism, obecnie, czy to ze względu na oszczędność papieru, czy też czasu redaktorów, ten kulturalny zwyczaj poszedł w zapomnienie, choć tygodniki literackie w porównaniu z małą komórką redakcyjną „Kameny" rozporządzają całym sztabem pracowników.

Nasza poczta. Prawie codziennie otrzymujemy przynajmniej jeden list, którego autor z ufnością i nadzieją zwierza się nam ze swych zamiłowań literackich i przysyła próbki swoich utworów.

I tu zaobserwujemy ciekawe zjawisko: w 90% są to wiersze. Po prostu zalew poezji, pseudopoezji i zwykłej grafomanii. I piszą przeważnie ludzie młodzi, którzy coś już gdzieś drukowali, lub zgoła początkujący debiutanci. Ale dlaczego tak rzadko przesyła się nam opowiadania, fragmenty powieści, reportaże — a już nigdy nikt nie proponuje utworów dramatycznych?

Chyba jest to zrozumiałe: „wiersz" napisać najłatwiej, zwłaszcza tzw. „nowoczesny", nie krępowany dyscypliną zwrotek, rymów, określonego rytmu, zrozumiałej metaforyki, wiersz swobodnych skojarzeń i niedocieczonej abstrakcji, do której zrozumienia klucz posiada często tylko sam autor. Oceniając nadsyłane utwory, właśnie z tego rodzaju próbkami mamy największe trudności, bo z płodami wyraźnej grafomanii jest sprawa najłatwiejsza: już po przelotnym przejrzeniu ich — odpadają.

Tak samo nie trudno ocenić wartość wiersza prostego, komunikatywnego, choćby odbiegającego od tradycyjnych kanonów wersyfikacji, ale wyraźnego w swej intencji — przejrzysta myśl, szczere uczucie, świeża metaforyka, samodzielność unikająca wpływów — decydują o walorach. Ale ten abstrakcjonizm, te utwory różnych autorów, nieraz tak podobne do siebie, jakby je pisała jedna ręka, a tworzone pod patronatem (to już lepsze) Białoszewskich czy Drozdowskich albo (co jest gorsze) „odkrywające" dawno już przebrzmiały futuryzm czy surrealizm — to najtrudniejszy orzech do zgryzienia. Bo przecież niejeden z autorów ulegających modnej manierze ma jednak zdolności i warto go na razie choćby w tej postaci zaprezentować. Ale właśnie trzeba dociec, gdzie jest prawdziwy talent, a gdzie poza czy naśladownictwo, a to nie zawsze jest rzeczą łatwą.

Wprowadziliśmy więc kącik debiutantów, w którym od czasu do czasu zamieszczamy co lepsze próbki z nadsyłanych nam utworów: w odpowiedziach radzimy grafomanom złamać pióro, zachęcamy tych, u których widzimy jakieś możliwości dalszego rozwoju, a niektórym obiecujemy, przeważnie z zastrzeżeniem „ewentualnie", zamieszczenie wierszy. I tu zaczyna się prawdziwa „tragedia": brak miejsca w naszym piśmie, który nie pozwala nam w szybkim czasie realizować obietnic, i niektórzy autorzy z rozgoryczeniem czekają dobrych kilka miesięcy na ukazanie się ich materiału lub też spotykają się z zupełnym zawodem: ich utwór w ogóle nie ujrzy światła dziennego. Trudno — mówiło się: „ewentualnie".

Bo trzeba zrozumieć: „Kamena" jest organem Lubelskiego Oddziału ZLP, a więc głównie pismem regionalnym, a i my tu mamy swoich „młodych", którym przede wszystkim musimy przyjść z pomocą. Poza tym drukując autorów spoza Lublina nastawieni jesteśmy raczej na prace literatów o znanym nazwisku, co przecież podnosi atrakcyjność naszego pisma.

Niemniej jednak, gdyby uważnie przejrzeć zamykany tym numerem rocznik „Kameny", można by wyraźnie stwierdzić, że mimo ogromnych trudności nie jesteśmy ekskluzywni i nie zamykamy naszego pisma nawet przed początkującymi autorami z innych regionów, jeśli mamy do czynienia ze szczerym talentem.

I tak chyba będzie i w przyszłym roku: w miarę możliwości będziemy się starali uwzględniać przynajmniej najlepsze z nadsyłanych nam materiałów, choć zapewne nieraz, nie z naszej winy, nie wywiążemy się ze swych „ewentualnych" obietnic.

Na zakończenie jeszcze jedno: większość autorów, nadsyłających nam swe próbki, prosi o odpowiedź listowną. Jest to rzeczą niemożliwą, ponieważ brak czasu na tak szeroką korespondencję, a poza tym nie rozporządzamy na ten cel funduszem. Odpowiedzi nadal będziemy udzielali wyłącznie w rubryce „Odpowiedzi Redakcji", a materiałów nie zamówionych nie będziemy zwracali, niszcząc je po upływie trzech miesięcy lub odsyłając po otrzymaniu znaczków pocztowych na porto.

Z prasy lubelszczyzny

„Głos FSC"

„Głos FSC", organ Komitetu Fabrycznego PZPR i Rady Zakładowej FSC, należy do tego specyficznego rodzaju czasopism, które wyłączone są ze sprzedaży kioskowej i które rodowód swój wywodzą w prostej linii od... gazetki ściennej.

Parantela pozornie tylko szokująca, jeśli się weźmie pod uwagę błyskawiczną i zadziwiającą ewolucję omawianego czasopisma. W powodzi różnego typu i autoramentu mniej lub bardziej potrzebnych tzw. „gazetek zakładowych" „Głos FSC" stanowi zdecydowanie pozytywny wyjątek dzięki jasnej, skrystalizowanej koncepcji, nieustannemu rozwojowi, bogaceniu i różnicowaniu zawartości treściowej oraz ambitnym kryteriom, które stawia Kolegium Redakcyjne nadsyłanym i publikowanym artykułom.

Proces kształtowania się owych cech (nie od razu Kraków zbudowano...) staje się najbardziej chyba wyraźny w przełomowym okresie od września 1956 roku do października 1957 roku. Błyskawiczna ewolucja „Głosu FSC" w tym krótkim stosunkowo okresie jest wiernym odbiciem głębokich przeobrażeń, które zaszły w tym czasie w naszym kraju.

Numery „przedpaździernikowe" wypełnione są z jednej strony materiałem o tematyce zacieśnionej do wąskiego kręgu drobnych spraw wewnątrzzakładowych, z drugiej strony mniej lub bardziej ogólnymi „transparentowymi" komunałami, które znamy wszyscy doskonale z łamów prasy ogólnopolskiej.

Po październiku sytuacja zmienia się powoli lecz radykalnie. W publikowanych artykułach coraz częściej przebija szczerość i pasja, coraz więcej w nich tonów polemicznych i osobistego zaangażowania. Krąg tematyczny rozszerza się obejmując całokształt spraw życia załogi FSC. Okazuje się, że robotnicy, inżynierowie i pracownicy administracyjni lubelskiej fabryki mają swoje życie osobiste, swe troski, bolączki, kłopoty i radości nawet po wyjściu z zakładu. Na łamach gazety ukazuje się (po raz pierwszy chyba) żywa twarz człowieka — współtwórcy i współgospodarza Zakładu.

„Głos FSC" włącza się bez reszty do trudnego procesu popaździernikowej Odnowy („List załogi FSC do załogi Żerania", „Rezolucja załogi FSC z dn. 22 i 23.X.1956 r.", „Rozliczenie z przeszłością" itp.) i tę generalną linię postępowania konsekwentnie kontynuuje.

Coraz więcej miejsca zajmują sprawy bytowe załogi, problemy wychowania, kulturalno-oświatowe i polityczne. Kolegium Redakcyjne śmiało obnaża i próbuje rozwiązać trudny problem wewnętrznych stosunków między kadrą techniczną a robotnikami oraz między dyrekcją a załogą. Jednocześnie pojawia się nowy dział kulturalny, na ostatniej co prawda stronie czasopisma, w którym omawiane są sprawy filmowe, sprawy czytelnictwa oraz sprawy kontaktów z miejscowym środowiskiem literackim (recenzje z wieczorów autorskich kol. kol. Gralewskiego, Lekkiego, Wolskiego, Stepka i Jakubika). Coraz częściej ukazują się na łamach „Głosu" nowinki techniczne i ciekawostki ze świata, pojawiają się pierwsze reportaże i felietony. Coraz więcej fotografii, zwiększa się również format gazety.

Zupełnie nieoczekiwanie „Głos FSC" staje się więc równorzędnym niemal partnerem codziennej prasy lubelskiej. Komunikat Kolegium Redakcyjnego z dn. 17 czerwca 1957 r. zawiadamiający, że „Głos" ukazywać się będzie w przyszłości raz na miesiąc, nie tylko nie osłabił ambicji Zespołu Redakcyjnego, lecz stał się bodźcem do większego wzmożenia uwagi i troski o wyższy poziom czasopisma. Lektura numerów z lipca, sierpnia i września br. dostarcza aż nadto dowodów potwierdzających to spostrzeżenie. Na zakończenie należałoby jedynie, tradycyjnym zwyczajem, życzyć Kolegium w jego dalszej pracy równie owocnych i pięknych rezultatów — jak dotychczas. Oby tak się stało!

Marchołt

Nowe książki

„SOKOŁOWSKI"

Wyd. „Sztuka", Warszawa 1957

Jedynym u nas wydawnictwem, zajmującym się popularyzacją malarstwa, rzeźby i architektury była „Sztuka". Wydawnictwo to wypuściło na rynek szereg dzieł o nieprzemijającej wartości, takich jak: „Wit Stwosz", „Canaletto", „Kotsis" i zapowiadało monografie poświęcone najwybitniejszym artystom (Jan Matejko, Artur Grottger, Aleksander Gierymski i in.) Niestety, zapowiedzi te nie sprawdziły się, a samo Wydawnictwo „Sztuka" uległo likwidacji. Jego działalność podejmuje obecnie Spółdzielnia pod nazwą „Arkady". Fakt ten jest smutny sam w sobie i dowodzi, jak mało cenimy sprawę upowszechnienia sztuki i to w tym czasie, kiedy szumnie deklamuje się o „sztuce dla mas", o wprowadzeniu dobrej reprodukcji do wnętrza domów zajmowanych przez robotników, chłopów i inteligencję.

Jedną z ostatnich pozycji „Sztuki" jest dzieło pt. „Sokołowski", poświęcone temu wybitnie utalentowanemu artyście, którego nazwisko znane było przede wszystkim znawcom i miłośnikom sztuki. Jan Seweryn Sokołowski związał się w latach międzywojennych z dwoma ludźmi: z L. Pękalskim i Felicjanem Kowarskim. Od nich czerpał swoją wiedzę, zapał, i z nimi niezmordowanie pracował. Uprawiał malarstwo sztalugowe, malował pejzaże, kameralne portrety i kompozycje o charakterze rodzajowym. Ale przeznaczeniem jego było malarstwo monumentalne. W tej dopiero dziedzinie talent jego zalśnił niepowszednim blaskiem. Był niewyczerpany w pomysłach projektując swoje wspaniałe sgrafitta, elewacje starych kamienic (np. dom „pod Muzykantami" na Starym Mieście, „Zbójników" w Zakopanem, plafon w gabinecie ministra spraw zagranicznych, polichromie kościoła w Częstochowie i wiele in.). Na sztukę J. Seweryna Sokołowskiego duży wpływ wywarł jego mistrz i przyjaciel Felicjan Kowarski. Sokołowski po śmierci Kowarskiego prowadził jego kurs w Akademii Sztuk Pięknych i był najlepszym, najwierniejszym kontynuatorem malarstwa tego świetnego plastyka.

Obszerny wstęp J. Żórawskiej daje czytelnikowi krótki, syntetyczny obraz życia i twórczości niedawno zmarłego artysty, obraz, rzecz zrozumiała, niepełny, ale za to pełen pietyzmu dla puścizny autora „Muzykantów". J. Żórawska podkreśliła najcharakterystyczniejsze znamiona sztuki Sokołowskiego: miłość koloru i dążenie do syntezy. Album wytłoczono na doskonałym papierze, pozwalającym na zaprezentowanie kilkudziesięciu reprodukcji dzieł Sokołowskiego. Wśród nich jest kilka barwnych. Szczególną uwagę zwracają takie obrazy, jak: „Akt siedzący", „Akt przed lustrem", „Maki", „Widok z Olczy", „Muzykanci", „Kostka Napierski", „Autoportret" (w kolorze), wspaniały pejzaż (w kolorze).

Trzeba zaznaczyć, że dzieło to jest wzorem dobrze wydanej książki. Oprawa twarda. Piękna obwoluta, na której umieszczono barwną reprodukcję „Muzykantów".

STEFAN PAPEE: „GRAMY FREDRĘ"

Lud. Spółdz. Wyd., Warszawa 1957

Amatorski ruch teatralny na wsi napotyka na różne przeszkody. Jedną z najważniejszych jest niemal kompletny brak repertuaru. Toteż dobrze się stało, że znany historyk literatury i krytyk prof. Stefan Papee powziął myśl rozszerzenia biblioteki teatrów ludowych o nową pozycję. W tym celu wybrał i opatrzył wstępem szereg powiązanych ze sobą fragmentów z dzieł Aleksandra Fredry i wydał je nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej pt. „Gramy Fredrę". W książeczce tej znajdujemy wyjątki z „Pana Jowialskiego", „Pana Geldhaba", „Męża i żony", „Zemsty", „Ślubów panieńskich" i z mniej znanych sztuk wielkiego komediopisarza.

Na specjalną pochwałę zasługuje wprowadzony przez autora książki dialog Ludomira z Wiktorem, będący doskonałym wprowadzeniem w świat postaci Fredry. Rozmowa ta ułatwi w wielkiej mierze zrozumienie „wieczornicy". Ludomir i Wiktor pełnią w dziełku Papeego rolę komentatorów i występują zawsze po zapadnięciu kurtyny.

Poważną zaletą pracy przeznaczonej dla teatrów ludowych są wskazówki dotyczące dekoracji i kostiumów. Pozwala to na wystawienie Fredry nawet w najbardziej zapadłych zakątkach kraju, niemal na każdej scenie. Na końcu książeczki autor załączył słownik wyrazów obcych używanych w cytowanych fragmentach. W sumie bardzo pożyteczna pozycja. Na podkreślenie zasługuje szata graficzna dziełka.

jnk

Monografia poświęcona J. Kleinerowi

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego przystępuje do opracowania i wydania zbiorowej monografii naukowej o życiu i twórczej działalności Juliusza Kleinera. Monografia zawierać będzie — prócz rozpraw — dział wspomnień o Profesorze i Jego korespondencję. Redaktor monografii, prof. Feliks Araszkiewicz, zwraca się z uprzejmą prośbą do wszystkich, którzy posiadają korespondencję i fotografie Profesora oraz chcieliby wziąć udział we wspomnianym dziale monografii, aby przesłali krótkie zapiski (2—3 strony maszynopisu w 4 egzemplarzach) w terminie do 1 kwietnia 1958 r. pod adresem: Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin, Al. Racławickie 14.

Ze względów merytorycznych i technicznych redakcja zastrzega sobie prawo doboru wspomnień w ich przeznaczeniu do druku.

(A)

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa „Naszej Księgarni"

E. Storch: „Łowcy mamutów", przełożyła Jadwiga Bułakowska. 1957.

Anna Jürgen: „Błękitny ptak", przełożył St. Sielski. 1957.

J. Hous: „O krainie ukrytej w notatniku", 1957, przełożyła Irena Wojnar. 1957.

Gianni Rodari: „Podróż błękitnej strzały", przełożyła Zofia Ernstowa. 1957.

Jean Webster: „Tajemniczy opiekun", przełożyła Róża Centnerszwerowa. 1957.

Edward Szymański: „Zgaduj zgadula". 1957.

J. Antoniewicz: „Na jabłoni zawiązują się owoce". 1957.

Georges Nigremont: „Niezwykli podróżnicy", przełożyła Jadwiga Dmochowska. 1957.

Konkurs

Wojewódzka Komisja Konkursowa organizuje w ramach V Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów eliminacje wojewódzkie. Konkurs obejmuje trzy grupy repertuarowe: prozę, poezję i satyrę. Recytatorzy uczestniczący w konkursie obowiązani są przygotować do wykonania po jednym utworze z dwu dowolnych grup repertuarowych. Wojewódzka Komisja Konkursowa ustala nagrody od 200 do 1000 zł oraz szereg nagród rzeczowych i wyróżnień.

Redakcja „Kameny" za najlepsze recytacje utworów literatów lubelskich przewiduje nagrody od 200 do 500 zł.

Eliminacje powiatowe odbędą się w lutym, wojewódzkie — w kwietniu 1958 r. Kandydaci od lat 14. Zgłoszenia przyjmują i udzielają informacji Wydziały i Oddziały Kultury Prezydiów Rad Narodowych.

Odpowiedzi Redakcji

PP.

Edward M. w Warszawie. Wydaje nam się, że warto pracować. Na razie nie do druku. Pismo straszliwie nieczytelne.

Henr. Szyl. w Zielonej Górze. Reportaż zamieściliśmy. Dwa ostatnie wiersze zatrzymujemy do ewentualnego wykorzystania w przyszłości. Z poprzednich najlepsze „Rezygnacja" i „Ja i ty".

Kaz. Eug. Stesz. w Stawie. Zamieścimy „W oknie".

A. Was. w Chełmie. „Przyjaciela" nie wydrukujemy.

Rysz. Cib. w Warszawie. Zatrzymujemy „Zaułek pachnący jaśminem".

Adolf Wes. w Lublinie. Najlepsze: „Stoję", „Jestem bryłą prowizoryczną" i „Miasteczko wakacyjne". Może coś zamieścimy.

Witold Nan. w Białymstoku. Z nowej partii wierszy nie skorzystamy.

Autorowi „Marzeń" w Nałęczowie. Bez wartości.

Rysunki w numerze:
Mirosław Komendencki

Prenumerujcie „KAMENĘ"

To najpewniejszy sposób regularnego otrzymywania pisma

Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch". Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 4120. 5. XII. 57. A-11.